Miesięcznie 1 zł
Prenumeratę przyjmuje każda poczta

1 egz. 30 groszy

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

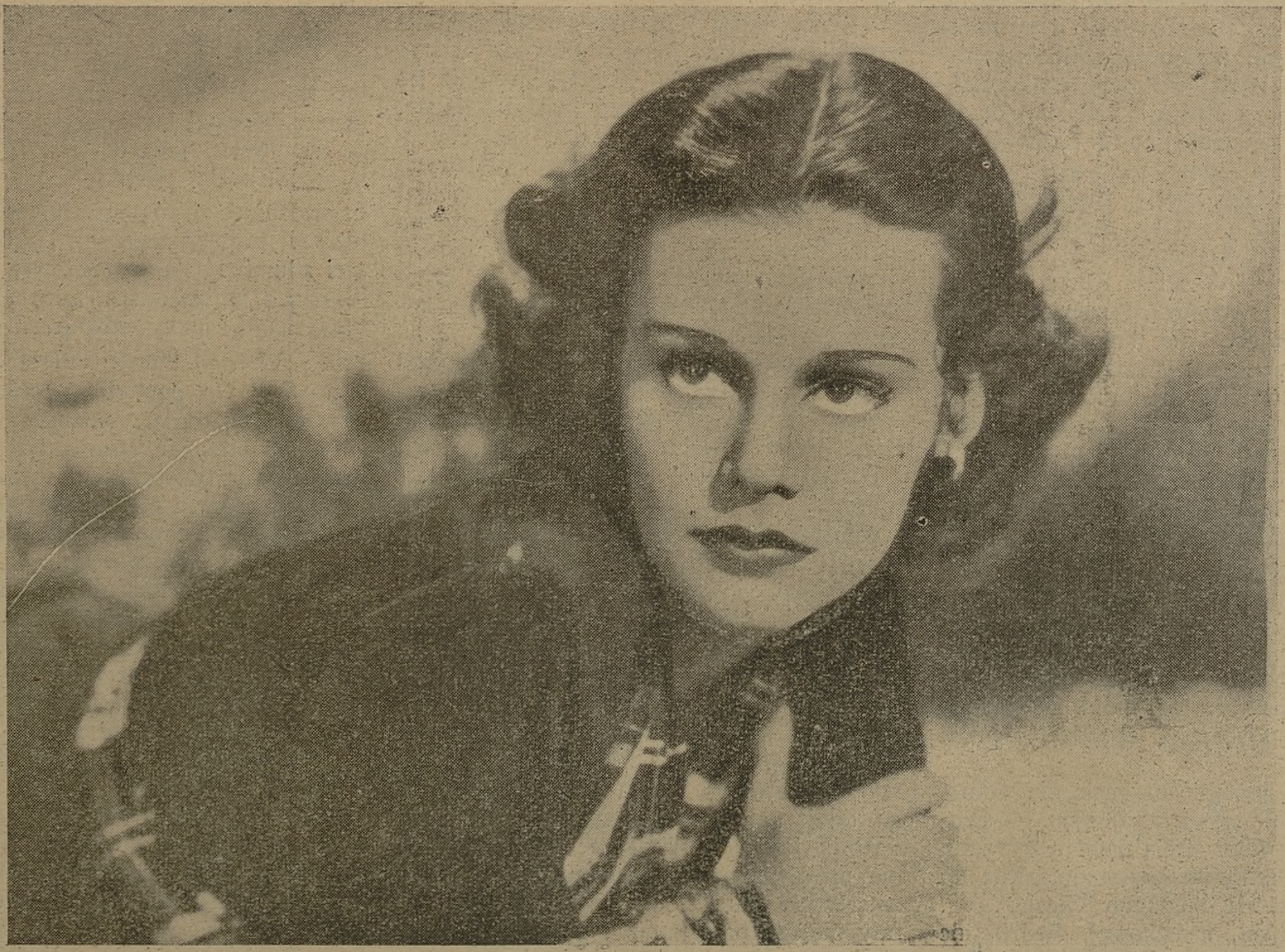
Rok VI — Niedziela, dnia 6 lutego 1938 r. — Nr. 6

TRZEBA KOCHAĆ

Trzeba kochać przeserdecznie cały cudny świat dokoła
I to dźwięczne, srebrne echo, co rozgłośnie w borze woła...
I tych siwych mgieł welony, zbłękitnione jasne dale
I tych różnych drżących pereł porankowe łzy — opale...

Trzeba kochać dni słoneczne w rzewny cichy smęt wpatrzone,
Zmierzchy złote i szarawe, w modre niebo rozmodlone...
Sny dalekie, śpiewne, nikłe, sny dziecięce konwalijne,
Cud - marzenia słodkie, białe, nieziszczalne i lilijne...

Trzeba kochać smutne oczy, zgasłe oczy przeźroczyste,
Oczy, co to w smutku spełzły, jak najbledsze ametysty,
Oczy, które patrzą w niebo, gdy się gwiazd milionem złoci,
Oczy, które zapytują: „Kędy kwitnie kwiat paproci?".



ADAM CZEKALSKI

18)

Milion w złocie

POWIEŚĆ

Skoncentrowawszy całą swoją wolę na człowieka leżącego na torze kolejowym, Borowicz czekał nadejścia pociągu, który już się tam gdzieś w dali był rozhuczał i rozdźwięczał, pędząc w cichą i ciepłą noc letnią z poprzedzającym go na znacznej przestrzeni echem.

XVII.

WSZELKI DUCH...

Pan Melchior Kulka siedział w komisariacie i próbował, na razie teoretycznie, rozwikłać sprawę zaginięcia antidotum inżyniera Soreckiego, a zarazem wykombinować, kto mógł sfałszować protokół posterunkowego Kulpecia o wypadkach karnawałowej nocy przy ulicy Tadeusza Kościuszki. Była już głęboka noc, ale życie wieczorne pracowitej Łodzi nie ustało jeszcze bynajmniej, bo jego odgłosy w różnorodnych dźwiękach dochodziły do jego uszu.

Panu Kulce przyszedł na myśl Barłamp, nieodstępny towarzysz wielu wypraw na korsarzy nocnych i dziennych, których tak wielu posiada każde wielkie skupisko ludzkie, wierny druh, znakomity bibosz i przyjaciel i serce ścisnęło mu się dziwnym skurczem na wspomnienie, że zostawił go na pastwę Bóg wie jak przykrego losu i nic mu nie mógł pomóc. A przecież nie siedział z założonymi rękami, ale szukał wszędzie, myszkował, wąchał sam i inni wywiadowcy, a jednak wszystko na próżno. Dwukrotnie zakradał się do mieszkania Borowicza przy Piotrkowskiej i w pałacu Rostafińskich, próbował zajrzeć w zakamarki mieszkania delegacji kalkuckiej, wziął do pomocy Bulwę i Lalusia, którzy znali wszelkie zakamarki nawet najtajniejsze wielkiej Łodzi, a jednak nic i nic.

— Co się z nim dzieje, biedakiem? — westchnął Kulka. — Czy chociaż jeszcze żyje? Czy wróci kiedykolwiek?

Jeszcze wczoraj doradzał Kulka Krajewskiemu, ażeby aresztować Borowicza i całą delegację kalkucką, ale komisarz odmówił. Istotnych podstaw materialnych do takiego aresztowania nie było, a skandal byłby zbyt wielki i mógł wywołać nader szkodliwe echa za granicą. Toż ci ludzie byli przedstawicielami wielkich hurtowni indyjskich, nabywających rokrocznie towarów włókienniczych za miliony złotych. Stracenie takiego odbiorcy w dobie najostrzejszej walki międzynarodowego handlu o rynki zagraniczne — byłoby błędem nie do naprawienia i nie do darowania. Dlatego Krajewski, chociaż pragnął za wszelką cenę Barłampowi pomóc, nie mógł się jednak odważyć na posunięcie doradzane przez Kulkę.

— Nie, tak postąpić na razie nie wolno, mości Kulka — mówił Krajewski. — Szukaj pan dalej, otocz siecią pajęczą wywiadu Borowicza, a może w końcu dojdziesz do miejsca uwięzienia biednego Olesia.

I Kulka szukał, myszkował, śledził, ale Borowicz, snać przeczuwając, albo wiedząc



Śnieg w Paryżu jest rzadkością i dlatego też zrozumiałą jest radość młodych Paryżanek, gdy mogą ulepić bałwana ze śniegu

o tym, zawsze wymykał się z sieci i umiał tak kluczyć, że nie sposób było trafić za nim do schowka. Badał też Kulka skrupulatnie i świeżych dzierżawców i lokatorów wielkiej Łodzi, ale oprócz dwóch wypadków, znanych zresztą Kulce z wynajmem mieszkania przez Borowicza, żadnych innych nie spotkał.

Wszystko to doprowadzało biednego pana Melchiora niemal do rozstroju nerwowego, odbierało mu spokój i o dawnej beztroskliwości teraz w ogóle mowy być nie mogło.

— Albo mózg mój i spryt zjełczały już zupełnie na stare masło, albo się w kpa obracam — wymyślał Kulka sam sobie tego wieczora. — Inaczej być nie może.

I chcąc czymkolwiek zająć się, aby o tych sprawach tak dla niego przykrych nie myśleć, rozłożył książkę i próbował czytać. Zaledwie jednak przebiegł oczyma jedną stronę, gdy gdzieś opodal stuknęły drzwi, ktoś potrącił krzesło, które przewróciło się i potoczyło po podłodze, a następnie nastała nagła cisza.

— Kij diabeł tam znowu łazi po biurze! — mruknął gniewnie Kulka i wziąwszy rewolwer w rękę, lampę w drugą, poszedł cicho przez otwarte drzwi ku pokojowi, z którego dobiegły go te niezwykłe odgłosy.

Przy drzwiach przystanął i zaczął nasłuchiwać. Ktoś tam łaził na palcach, nie chcąc snać wywoływać hałasu, aby nie zwrócić na siebie uwagi. Kulka zawiesił lampę na guziku marynarki, otworzył cichuteńko drzwi i stanął na progu. To, co zobaczył, zdumiało go ogromnie. Oto ujrzał dyżurnego przodownika Szafrańca plądrującego w szufladach biurka komisarza Krajewskiego. Kulka już miał krzyknąć na niego, ale raptem zobaczył, że przodownik jest jak gdyby we śnie, bo oczy ma prawie zupełnie zamknięte, ręce jakby zmartwiałe, chociaż bardzo szybko przebierały między papierami, a przez ciało policjanta przebiegają nieustannie dreszcze.

Kulka stał długo na miejscu, nie mogąc wyjść z podziwienia, ale nie wołał, nie straszył poszukiwacza, najmniejszym szelestem nie zdradzał swojej obecności, ciekaw, co z tego wszystkiego wyjdzie.

Tymczasem Szafraniec, znalazłszy jakiś akt, włożony do wielkiej koperty, wyjął go, przejrzał (Kulka nie był pewien, czy widzi on cokolwiek, gdyż oczy jego wciąż nakryte były powiekami), w końcu poukładał papiery na swoich miejscach i z kopertą w ręku zaczął podążać do pokoju dyżurnego, idąc jakby we śnie.

Kulka poszedł za nim, zarówno zdziwiony ogromnie, jak i zaciekawiony, co to wszystko znaczy i jak się zakończy. A przodownik, znalazłszy się w pokoju dyżurnym, usiadł przy biurku i wyjąwszy papiery z koperty, zaczął je przeglądać i liczyć, wciąż oczy mając zamknięte, a ciałem jego wstrząsały dziwne dreszcze.

Po chwili zadźwięczał dzwonek telefonu. Szafraniec zdjął słuchawkę i przystawił ją do ucha, a z jego gardła wyszedł jakiś szept, którego nawet Kulka, stojący prawie tuż za jego plecami, nie mógł usłyszeć.

Słuchawka znowu zawisła na swoim miejscu, a Szafraniec włożył papiery do koperty, zakleił ją i włożył pod papiery leżące na biurku. Kulka wciąż jeszcze czekał, bo pragnął dowiedzieć się wszystkiego, zbadać wszystko gruntownie. Po upływie kilku dalszych minut zapukał ktoś do drzwi, a z ust Szafrańca znowu wyszedł taki sam, jak poprzednio niedosłyszalny szept. Kulka błyskawicznie ukrył się za szafę i czekał dalej. Do pokoju wszedł jakiś człowiek w dużym futrzanym palcie, co ogromnie zdumiało Kulkę, gdyż noc była parna i duszna, z kołnierzem postawionym do góry tak, że widać mu było tylko koniec nosa. Nieznajomy nie wyrzekł ani słowa, i ani słowem nie odezwał się też do niego przodownik Szafraniec, ale w milczeniu sięgnąwszy pod papiery, wydostał stamtąd kopertę i podał ją nieznajomemu. Lecz zanim ten zdołał dostać ją w ręce, Kulka przyskoczył do Szafrańca, wyrwał mu kopertę z rąk i mierząc z rewolweru, zawołał:

— Ręce do góry!

Szafraniec drgnął gwałtownie, jakby budził się z głębokiego snu i spojrzał ogromnie zdumiony na wywiadowcę. Nieznajomy człowiek w kożuchu zamrugał nerwowo powiekami, jakby również budził się ze snu i niemniej oczami popatrzył na Kulkę.

— Co? Co pan robi, panie Kulka? — wyrzekł Szafraniec, blednąc.

— Dowiesz się pan o tym później! — odrzekł surowo Kulka. — A tymczasem ręce do góry i nie ruszać się z miejsca, inaczej palnę panu w łeb, zanim zdołasz zrobić choćby jeden ruch.

Szafraniec posłusznie podniósł ręce do góry, a Kulka szybkim ruchem wyciągnął mu rewolwer z olstra i wrzucił go do kieszeni swojej marynarki. Po czym nacisnął dzwonek alarmowy do rezerwy policji. Po chwili wpadło paru policjantów

— Rozbroić do reszty przodownika Szafrańca! — rozkazał Kulka. — A tego tu człowieka odprowadzić do aresztu. Obu pilnować dobrze do czasu przybycia tutaj pana komisarza Krajewskiego. Panie Kulpeć, pan obejmiesz dyżur w komisariacie.

— Rozkaz, panie przodowniku.

Kulka połączył się natychmiast z komisarzem Krajewskim, prosząc go, ażeby natychmiast przybył do komisariatu, gdyż zaszły bardzo ważne wypadki, które wymagają bezzwłocznej jego obecności.

W pół godziny później zjawił się Krajewski ogromnie zaintrygowany nagłym wezwaniem.

— Co tu się stało? — spytał Kulki, który czekał na niego, przechadzając się po pokoju dyżurnym i paląc jednego papierosa za drugim.

— Zaszły takie sprawy — odrzekł Kulka — które wymagają koniecznie obecności pana komisarza. A oto, co się stało...

Kulka opowiedział całe zajście z wszelkimi szczegółami i na zakończenie wręczył Krajewskiemu pakiet z papierami, które usiłował wydać przodownik Szafraniec. Komisarz przerzucił szybko papiery, następnie ukrył je z powrotem w kopercie i rzekł:

— Nawet pan sobie nie wystawia, jaką kapitalną usługę oddał pan całej sprawie, panie Kulka.

— Jakiej sprawie, panie komisarzu?

— Sprawie, którą zaczęliśmy prowadzić w związku z owymi niesamowitościami, dziejącymi się od dłuższego czasu dokoła panny Krupińskiej.

— Więc te papiery tej sprawy dotyczą?

— Jest to sprawozdanie naszego posła w Kalkucie, któremu Ministerstwo Spraw Zagranicznych, na mój wniosek, poleciło zbadać sprawę Borowicza. Powiadam panu, panie Kulka, sprawozdanie to, to jeden wielki romans awanturniczy. Kiedyś dam panu do przeczytania. No, ale tymczasem zajmiemy się sprawą pana Szafrańca i tego drugiego osobnika. Trzeba działać szybko i sprawnie, bo nim dzień zaświta, musimy wiedzieć, do czego to wszystko zmierzało, kto kierował krokami Szafrańca i jak się to stało, że tak wzorowy pracownik, jakim zawsze był ten człowiek, dał się jednak załamać i podejść.

— Czy ja będę panu komisarzowi potrzebny?

— Na razie nie. Możesz pan odejść do domu, ale o godz. siódmej rano proszę tu już być.

— Zatem pójdę wypocząć, bo całą wczorajszą noc nie spałem.

— No, a czemuż to? Bąblerka?

— Tak, ale po mieszkaniu szlachetnego Sir Johna W. Borowicza.

— No i — nic?

Kulka rozłożył bezradnie ręce.

— Głupstwo. Dziś w nocy przyjeżdża porucznik Stadnicki z inżynierem Soreckim. Nim doba minie — przy ich pomocy powinniśmy rozwiązać całą zagadkę. Większość spraw mamy rozwiązanych, pozostaje tylko do wykrycia sprawcy kradzieży planów inżyniera Kosibowicza i — aresztowanie Sir Johna.

— A Barłamp? Panie komisarzu, to moja największa bolączka i... największy pech, jaki mnie spotkał ostatnio.

— Wierz pan, że i to zakończy się szczęśliwie.

— Oby tylko Barłamp żył.

— Miejmy nadzieję...

— No, to już odejdę. Dobranoc panu komisarzowi.

— Dobranoc... A pamiętaj pan być o siódmej.

— Będę niezawodnie.



Słoń u dentysty...

Kulka wyszedł. Na przystanku wsiadł do tramwaju i pojechał ku domowi. Tutaj siedział po kolacji czas dłuższy, rozmyślając w dalszym ciągu nad nieszczęsnym losem Olesia, gdy naraz do uszu jego dobiegły jakieś hałasy i krzyki przy bramie. Ktoś z kimś dochodził i sprzeczał, a Kulce wydało się naraz, że w tych licznych, skłóconych głosach poznaje głos jeden, głos Olesia.

— Czy to nie złudzenie? — poderwał się z miejsca Kulka. I pomacawszy rewolwer w kieszeni, pędem zbiegł po schodach na podwórze, które przebiegł w paru susach i znalazł się przy bramie.

— Co się tu dzieje? — spytał dozorcy, stojącego w napół uchylonej futrce i rozmawiającego z kimś po drugiej stronie.

— Jakieś oberwańce powołują się na pana i żądają wpuszczenia ich do budynku. A tu noc i czort znaje, co za patałachy chcą dostać się tutaj, może chcą kogo okraść, — objaśnił pan dozorca.

— Panie tego — odezwał się głos po drugiej stronie bramy. — Jeno zamknij swoją jadaczkę i pomyjami porządnych ludzi nie oblewaj.

— Bulwa! — zawołał naraz Kulka.

— Panie przodowniku, weź mnie pan w opiekę — odrzekł na to Bulwa, poznając Kulkę. — Ten osobnik rodzaju stróżowskiego trzyma mnie tu od blisko godziny, zjadaczkę sobie wyciera moją godną personą, a gdy go jak człowieka proszę, aby mnie do pana dopuścił — miele pyskiem i ani rusz do rozumu przemówić mu nie można.

— Puść pan tych ludzi — rozkazał Kulka. — Ja biorę za nich odpowiedzialność.

— Ha, to co inszego — zgodził się dozorca. — Skoro władza bierze odpowiedzialność za tych...

— Ostrożnie, ostrożnie na zakrętach, bo język może się zwichnąć.

Kulka pociągnął Bulwę do bramy, za nim wszedł Laluś.

— A gdzież pan Barłamp? — spytał Kulka, oglądając się w koło. — Zdawało mi się, że słyszałem jego głos przy bramie.

— To Laluś naśladował pana Barłampa, chcąc przekonać tego lucypra — łypnął Bulwa złowrogo wzrokiem w stronę dozorcy — że jest panem Barłampem we własnej osobie, ale to nie wiele nam pomogło. I gdyby nie pan...

— Bulwa, gdzie pan Barłamp? — powtórzył Kulka, przerywając gadatliwemu Bulwie.

Ten spuścił głowę na piersi i milczał chwilę. Tymczasem Laluś, zapaliwszy uprzednio papierosa, pośpieszył koledze z pomocą.

— Stało się coś bardzo niewyraźnego, panie przodowniku — objaśnił.

— Chodźcie do mnie, tam porozmawiamy.

Gdy znaleźli się w pokoju pana Melchiora, ten wyciągnął z kredensu butelkę, postawił dwa kieliszki, nalał i rzekł:

— No, szur i gadajcie wszystko dokładnie.

Włamywacze wypili i Bulwa zaczął opowiadać.

— Pilnowaliśmy Borowicza cały prawie dzień. I kiedy zobaczyliśmy go wychodzącego z domu i wsiadającego do auta, które skierowało się w stronę Widzewa, pobiegliśmy za nim...

— Głupi! Trzeba było wziąć drugą taksówkę i trzymać go się — wtrącił Kulka.

— Ja też tak radziłem, panie przodowniku.

— Kiedy radziłeś? Po zniknięciu nam auta z oczu?

— Sza! — przerwał sprzeczkę Kulka, nalewając na nowo kieliszki. — Gadajcie do rzeczy, później będziecie się kłócili.

— Jak już rzekłem — zaczął znowu Bulwa — pobiegliśmy za taksówką Borowicza, ale ta bardzo prędko zniknęła nam z oczu...

— To było do przewidzenia — mruknął pan Melchior.

— Ale po naradzie, ponieważ zapamiętałem numer wozu i wiedziałem, gdzie



W Niemczech nakręcają nowy film pt. „Koncert w Tyrolu". Na ilustracji jedna z kapitalnych scen tego lifmu, zabawa w śnieżki.

on ma postój, bo szofera znałem z widzenia, poszliśmy poszukać tej taksówki. Jakoż przyjechała nad wieczorem i wtedy dowiedzieliśmy się, że jeździła gdzieś daleko za Łódź, aż pod Widzew. Tam Borowicz zatrzymał wóz, wysiadł i poszedł do lasku. Tego mi było na razie dość. Byłem pewny, że skoro Borowicz tam poszedł, to nie bez kozery. Tedy powiadam do Lalusia: chodajmy, bracie w tamtą stronę. Wydostaliśmy się na tor kolejowy i tak doszliśmy aż daleko za Łódź w stronę Widzewa. Było już dobrze ciemno, gdy naraz potknęliśmy się o jakiegoś człowieka. Laluś wtedy powiada: ot, uchlał się, jak nieboskie stworzenie i teraz śpi sobie smacznie nieboże. A ja znowu: obmacaj, może ma jaką walutę. Pan przodownik wybaczy, ale to już tak z przyzwyczajenia. Laluś pochylił się nad leżącym, a ja mimo woli błysnąłem latarką i... co pan przodownik powie — na torze leżał pan Barłamp.

— Co ty mówisz? Nieżywy?

— Eh, nie — żywy, ale taki osłabiony, że o bożym świecie nie wiedział.

— I cóżeście z nim zrobili? — Gdzieście go podzieli?

— Zostawiliśmy go na miejscu — poinformował spokojnie Laluś.

— Czyście oszaleli! Przecież go pociąg może przejechać!

— No, nie całkiem na torze, niech się pan przodownik nie ciepie. Otóż kiedy poznaliśmy, że to pan Barlamp, wzięliśmy go obaj z Lalusiem i odciągnęliśmy na bok i to w sam czas, bo zaledwie zdążyliśmy dojść do krzaków, co przy samym torze rosną, gdy przeleciał przez to miejsce pociąg warszawski. Jeszcze parę minut, a z naszego pana Barłampa byłby misz-masz nie do poznania.

— No i cóż dalej, cóż dalej?

— A no, zostawiliśmy go tam w zaroślach, a sami w te pędy do pana przodownika z pytaniem, co robić.

— Idioto patentowany, nie mogłeś to poszukać dorożki albo auta i przywieźć go tutaj! — irytował się Kulka.

— Nie mogliśmy tak zrobić, panie przodowniku.

— Czemu to?

— Przecież pan przodownik wie, że my jesteśmy notowani. Gdyby nas tak złapał jaki policjant, zaraz byłby kram, rwetes, urwanie głowy i zanim zdążylibyśmy się wytłumaczyć, przywołać pana przodownika, albo pana komisarza Krajewskiego, trzebaby noc spędzić w areszcie, a tymczasem ktoż wie, coby się stało z panem Barłampem.

To objaśnienie uspokoiło nieco Kulkę, który porwał na siebie płaszcz, w rękę kapelusz i obu tak niezwykłych swoich wspólników postawił na równe nogi.

— Jedziemy po pana Barłampa! — zawołał energicznie.

W parę chwil później taksówka pędziła w stronę lasku widzewskiego, wiożąc trzech mężczyzn. Kulka był bardzo podniecony, palił papierosa po papierosie i coraz więcej się denerwował, gdy nieustannie pytany Bulwa, odpowiadał za każdym razem: „jeszcze dalej, panie przodowniku, jeszcze dalej".

W końcu dojechali na miejsce. Kulka zapalił silną lampkę elektryczną i oświetlając nią teren, szedł za Bulwą. Zaczęło się szukanie tu i tam, myszkowano po zaroślach, ale Barlamp znikł nagle.

— Cóż, u diabła, nie możecie znaleźć miejsca, na którym byliście jeszcze przed godziną może? — irytował się Kulka.

— Ależ on tu właśnie powinien się znajdować — upierał się Bulwa, obchodząc wygniecioną trawę ze wszystkich stron. — O, widzi pan przodownik — tu właśnie leżał pan Barłamp, o — jeszcze widać wygniecioną trawę.

— Idź do diabła ze swymi objaśnieniami! — żachnął się Kulka. — Powinien, powinien, ale go nie ma, idioto!

— Szukajmy dalej, może się ocknął, może odszedł gdzieindziej — trzeba szukać.

— Tak, poszukajmy, panie przodowniku — poparł towarzysza Laluś. — Tu właśnie zostawiliśmy go.

Zaczęli szukać dalej, począwszy od miejsca na torze, gdzie na rozkaz Borowicza legł zahipnotyzowany Barłamp, aż do wygniecionej trawy w zaroślach, dokąd przenieśli go Bulwa i Laluś. Wciąż świecąc dokoła, Kulka poszedł śladami czyichś nóg, prowadzących od miejsca wygniecionej trawy, gdzieś dalej w lasek.

— O, wskazał naraz Bulwa — papierośnica.

— Istotnie, była to papierośnica Olesia — tym razem całkowicie pusta.

— A więc tędy szedł — zdecydował Kulka i ruszył szybko za zygzakowatym śladem ludzkich nóg, tym razem odciśniętych na nagiej piaszczytej glebie.

Jak długo tak szli? Trudno było określić czas. Musiało jednak upłynąć dość wiele czasu, bo szofer zaczął trąbić, wzywając do powrotu, a ten głos trąbki wydał się Kulce bardzo oddalonym. Znowu przebiegł daleko po torze pociąg, zdążający do Łodzi, napełniając lasek hukiem i świstem syreny. A oni szli tak dalej, wołając już teraz od czasu do czasu w nadziei, że jeśli Barlamp znajduje się tu gdziekolwiek — powinien usłyszeć i dać odzew.

Już byli wyszli na przeciwległy brzeg lasku, gdy naraz Kulka, podniósłszy nieco wyżej promień światła, zobaczył jakąś postać ludzką, opartą o pień drzewa, jakby zawieszoną na nim lub śpiącą.

Bulwa, patrz!

— Człowiek wisi — wyszeptał Bulwa.

— Eh, nie, to tylko śpi oparty o drzewo — sprostował Laluś.

Podeszli bliżej i Kulka, wciąż kierując snop światła na postać ludzką poznał w człowieku Barłampa. Stał on wsparty o pień sosny i szklistym, jakby martwym wzrokiem patrzył gdzieś w dal, na migocące na skraju horyzontu nocnego, pociemniałego nieba miliony świateł wielkiej Łodzi.

— Oleś! Oleś! — zawołał Kulka, podbiegając do przyjaciela. — Więc żyjesz, chłopcze? Więc nie pożarł cię ten dziki człowiek kalkucki?

— Ach, to ty, Kulka? Skądże się tu wziąłeś stary mastadoncie? — szepnął niewyraźnie Barłamp, próbując się uśmiechnąć.

— Szukam ciebie od paru godzin w tym lesie.

— Szukasz mnie?... — zdziwił się Barłamp? — A to czemu?

— Idioto kochany, czyż nie wiesz dlaczego cię szukam? Oleś, co tobie? — zaniepokoił się naraz Kulka. — Tyś chory?

— Tak i mnie coś się wydaje — jestem bardzo chory.

— Bulwa! Laluś! Weźcie pana Barłampa i chodaj, chłopaczki, do auta.

Barłamp zawisł bezwładnie na rękach niosących go ludzi, tracąc przytomność.

XVIII.
JĘKI WŚRÓD GRUZÓW

— Jeszcze godzinka nie cała jazdy, panie Machałek, i jesteśmy w Łodzi, w naszej Łodzi — mówił maszynista pociągu 816 do swojego pomocnika, patrząc przez boczne okienko lokomotywy na tor, po którym biegły dwie smugi świateł oczu lokomotywy.

— Ale na dzisiaj jeszcze nie koniec, — odrzekł pomocnik.

— Nic to nie znaczy. W Warszawie będziemy mieli parę godzin wolnych, potem wsiądziemy na naszą starą klacz i znowu znajdziemy się w Łodzi. Wtedy czeka nas zasłużony odpoczynek przez bite dwadzieścia cztery godzin.

Ciąg dalszy w nast. numerze.

Nienawiść a miłość

czyli tajemnica zamku Felseg

— No, ale teraz ja już panią opuszczam.

— Zaszczyt to był dla mnie, że wielmożny pan u nas mieszkał.

— Wrócę może w lecie, bo tu bardzo ładnie, pocieszał ją ajent, przywiozę może jeszcze kilku malarzy, to pani cały dzień będzie musiała smażyć, gotować i nalewać. Piwo z pewnością nie będzie stało.

— Honor to będzie dla mnie — uśmiechnęła się gospodyni.

— Proszę teraz o jajecznicę — rzekł ajent — nikt nie robi tego tak dobrze, jak pani.

— A wielmożny pan zaraz idzie do domu? — spytała szynkarka.

— Jeszcze trochę będę spacerował — odpowiedział ajent — dziś tak ładnie, a jutro może będzie odwilż, to o spacerze nie ma mowy. Dowidzenia pani!

Poszedł w istocie, ale nie na spacer, lecz prostą drogą na koniec wsi do zabudowań chaty ojca Tryny.

Przy oknie siedziała kobieta o bystrym, ale niemiłym wejrzeniu, której oczy latały teraz niespokojnie po pokoju.

W ręce miała robotę, ale nie robiła.

Z rogu izby, gdzie stało duże łoże, dolatywały jęki, ale ona na nie nie zwracała uwagi.

— Pochwalony — rzekł w progu, na powitanie Mehlhose.

Macocha Tryny na widok eleganckiego pana, usiłowała zrobić uprzejmą minę i odpowiedziała grzecznie.

— Jakże tam waszemu mężowi? — spytał ajent — słyszałem, że bardzo chory.

— Tak jest, chory — odpowiedział chrapliwy głos z łóżka — ale nie musi zaraz umierać, jakby to niektórzy ludzie sobie życzyli i czekają już na to. Już nie jeden był chory i stał nad grobem, a nie umarł.

— Naturalnie! — odpowiedziała żona jego, ale dziwnie obojętnie.

— Pan może doktor? — pytał chłop.

— Nie, ja jestem malarz — rzekł ajent.

— Szkoda, mruknął chory — inny doktor może by mi pomógł.

— Już i Święty Boże ci nie pomoże — mruknęła półgłosem baba — ty stary skąpcze — a po chwili dodała głośno:

— Nie byłbyś zachorował, gdyby nie zmartwienie z tą Tryną. A jej nie dość, że cię zapędziła w chorobę, to jeszcze teraz łazi tu i tylko czeka, żebyś ostatnie tchnienie wydał. Tfu, na nią!

Splunęła i mówiła dalej:

— Psami każę wyszczuć, jak tu jeszcze raz przyjdą. Nie boję się Tryny ani Henryka. A ty jakbyś był mądry, to byś zrobił testament i nic jej nie zapisał.

— Nie, testamentu nie zrobię, bo bym zaraz umarł — odparł chłop.

— To ty chcesz, żeby ona zabrała połowę majątku moich dzieci? — rzuciła się baba. — Łagodnie mi się odwdzięczasz! Jakbym to przeczuwała, nie byłabym wyszła za takiego starego.

Chory zaczął się śmiać.

— Małoś to latała za mną? — rzekł dysząc, bo mu dech zapierało — nie bój



Na Cejlonie kobiety noszą olbrzymie liście zamiast parasoli

się! Dobrze ci ślinka szła do gęby, żeby że sługi zostać panią!

Także masz co wypominać po dziesięciu latach! — złościła się bada — ale żebym tak zdechła, jak dopuszczę do tego, żeby ta Tryna dostała centa! Wolałabym umrzeć, niż dawać pieniądze takim ulicznikom!

— Naprawdę? — zapytał ajent badawczo.

— Jak Boga kocham! — przysięgła baba.

— A to plotkarze tu we wsi! — zawołał ajent — to tu gadają, że wy dajecie złotówki temu Henrykowi, żeby go sobie ująć!

Na te słowa, baba zerwała się w złości.

— Kto to mówił, ten skłamał bezczelnie! — zawołała — ani kropli wody jeszczem mu nie dała! Myśli pan, że ja siedzę na złocie?

Mój mąż obraca dobrze każdy cent, nim mi da! Nieraz miesiącami sama nie mam centa, a takiemu łajdakowi bym dawała?

— Ale za to przekleństw mu nie żałujesz! — śmiał się chory, jakby się cieszył z irytacji żony.

— Bo na nic innego nie zasłużył — krzyczała kobieta.

Mehlhose wiedział już wszystko co chciał. A więc nie od macochy Tryny Henryk dostał złotówkę! A więc to on zamordował Ignacego! Będzie dyndał nieborak!

Ajent chciał odejść.

— Niech pan zostanie — prosił chory — moja żona tylko wtedy, jak ktoś przyjdzie, taka jest rozmowna, ze mną to nie! Tak, tak! Niech się pan nie żeni, radzę panu!

— Żeby cię diabli już raz wzięli! — mruknęła półgłosem baba, zła, że ją zdemaskowano przed obcym. Ale głośno dodała:

— Jaki on dowcipny! — Jakbym ja teraz kiwnęła sobie, to on by za sześć tygodni ożenił się z młodą dziewczyną.

— Jak Boga kocham, że nie! — zaklinał się chłop — bałbym się, żeby znowu nie była taka jędza. Przed ślubem to każda jest łagodna. Ale niech pan znowu przyjdzie do nas! — prosił.

Gdy Mehlhose wrócił do gospody, zastał tam ludzi, którzy byli w lesie oglądać trupa, a teraz się posilali.

Pełno ich było przy wszystkich stołach, tak, że musieli się dusić i potrącać, ale mimo to jednego stołu prawie wolnego nikt nie chciał zająć. Siedziało tam tylko dwoje ludzi.

Omijali ich wszyscy, jakby zarażonych. Był to Henryk i Tryna.

Mehlhose przeszedł przez izbę, odpowiadając na uprzejmie ukłony i poszedł wprost do tego stołu, gdzie siedzieli mordercy Ignaca.

Położył rękę na ramieniu Ignacego i rzekł:

— W imieniu prawa aresztuję was!

— A co ja zrobił?! — zawołał Henryk groźnie.

— Zamordowaliście Cygana, a ona wam pomagała — rzekł ajent, wskazując na Trynę.

— To nieprawda wrzasnęła — dziewczyna. — Ja ani palcem nie ruszyła! — to on sam!

Ledwie to wyrzekła, Henryk rzucił się na nią i uderzył ją tak silnie pięścią w głowę, że upadła bez przytomności na ziemię.

— To masz za denuncjację! — zawołał — teraz mogą mnie powiesić! Zapłaciłem ci za twoje!

Żandarm, który razem z innymi pokrzepiał się w karczmie, skuł mu kajdankami ręce.

— Skujcie ją także! — wołał Henryk mściwie — ona mi pomagała!

ROZDZIAŁ CCLI.

Nieporozumienia

Zwiastuny wiosny zawitały do stolicy Austrii. Śnieg stopniał, na plantach świergotały ptaszki, a na ulicach przekupnie sprzedawali pierwiosnki.

I na cmentarzach znać było wiosnę. Z pomników zdjęto pokrywy, a groby ozdobione były kwiatami.

Między dwoma wzgórzami, ozdobionymi wspaniałymi pomnikami, stała dziewicza postać i modliła się złożywszy ręce.

Bola to Hortensja.

Tak krótko za życia była z rodzicami! Zato teraz tym częściej odwiedzała groby.

Modliła się za rodziców, a do modlitwy włączała jeszcze jedną osobę.

Nie wiedziała, czy Leon żyje, czy umarł, ale z ufnością modliła się za niego, polecała go Bogu, a z modlitwą spływała w jej serce błoga otucha, jak gdyby słyszała głos anioła stróża.

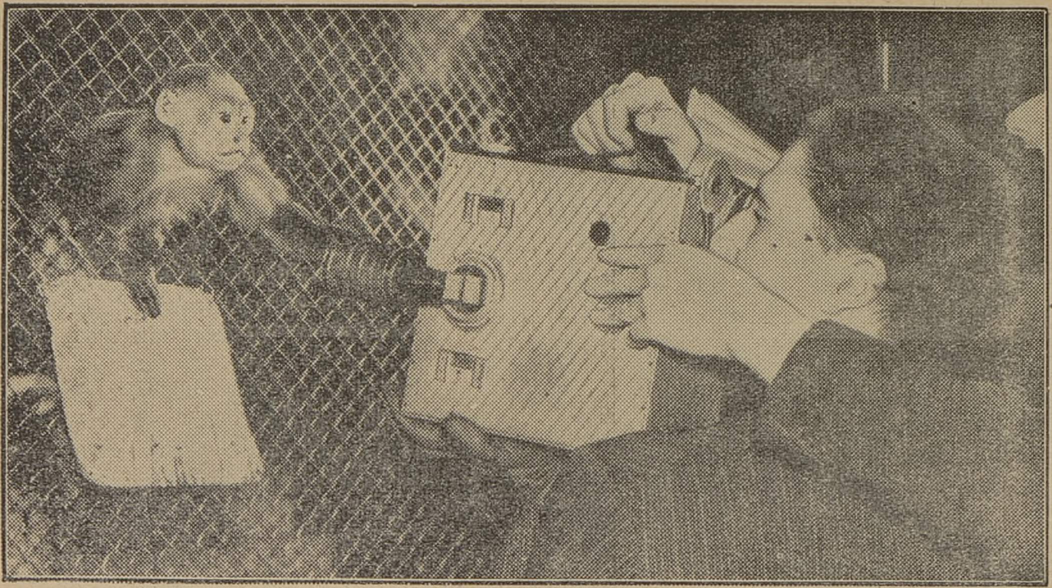
— Mąż twój żyje, a ręka Boska czuwa nad nim.

Pokrzepiona na duchu wyszła z cmentarza i z błogą jakąś nadzieją wracała do miasta.

Dorożka jednak, która ją wiozła, nie zatrzymała się przed bramą jej domu, tylko o kilka kroków bliżej.

Wysiadłszy zauważyła Hortensja przyczynę tego.

Przed bramą jej domu stał wspaniały pojazd.



„Przyjemną minę" — o, małpeczka z Zoo nie przejmuje się tym zaproszeniem i z największym spokojem zasła nia łapką obiektyw.

Przy nim czarny Petöfy stangretowi i lokajowi wydawał jakieś rozkazy.

Zobaczywszy ją, przywitał się z widoczną radością.

— Dobra to rzecz dla mnie, że już tu panią spotykam — mówił — czy wolno mi zabrać pani pół godzinki czasu, czy może przeszkodzę?

— Pan mi jest zawsze bardzo miły. — odrzekła Hortensja z prostotą — wracam z grobu ojca. Będziemy go razem wspominać.

Nie bardzo się młodemu księciu uśmiechała rozmowa o zmarłych, ale skłonił się z gracją i podając jej ramię, prowadził na górę.

— Zaprowadź księcia pana do salonu! — rzekła Hortensja do Luiga, który na głos dzwonka drzwi im otworzył — daruje książę, że zabawię chwilę, by złożyć płaszcz i kapelusz.

Petöfy stał i podziwiał jeden z obrazów w salonie, gdy Hortensja wyszła.

Nie zauważył jej odrazu, ale gdy rzucił na nią spojrzenie, zdumiał się.

Zawsze wiedział, że jest ładna, ale nigdy jeszcze tyle czaru nie biło od niej, jak teraz, gdy słońce widocznie padło wprost na jej twarz.

Włosy okalały ją jak aureola, cera była cudownie biała i przezroczysta.

Petöfy byłby najchętniej upadł jej do nóg i w zachwycie całował jej ręce, ale musiał powstrzymać się w zapale zwłaszcza, że ona odezwała się naiwnie:

— Podziwia książę mój obraz!? — Prawda, jaki ładny!? Ja go także bardzo lubię! Nieraz godzinami wpatruję się weń. W tym krajobrazie leśnym jest cudowny nastrój!

Książę taki był zapatrzony w nią samą, że zapomniał już o obrazie i z grzeczności tylko potakiwał.

— Mam wielką prośbę do pani — rzekł, gdy usiadła na kanapie, a on obok na brązowym pluszowym fotelu — że prawie brak mi odwagi, by ją wypowiedzieć.

— Ciekawam bardzo! — śmiała się Hortensja — o co mnie zwykłą śmiertelniczkę mogłby prosić książę pan i magnat!

— Opowiadałem tyle o pani mojej matce, że życzy ona sobie bardzo poznać panią — mówił książę. — Czy byłaby pani gotowa spełnić prośbę chorej osoby i odwiedzić ją?

— Ależ chętnie! — odpowiedziała Hortensja — tylko, że mama będzie rozczarowana, jak mnie pozna i na przyszłość już słusznie będzie sceptycznie słuchać opowiadań księcia!

Książę obawiał się, że ona albo wprost odmówi, albo będzie się pytać o pozwolenie opiekuna. Tymczasem obawy te nie ziściły się wcale, przeciwnie, Hortensja w prostocie swojej jeszcze się cieszyła, że pojedzie ładnym powozem księcia.

— Biorę panią za słowo! — zawołał książę prędko, jakby się obawiał, żeby nie cofnęła przyrzeczenia. Powóz mój czeka, jedziemy! Mama się ogromnie będzie cieczyć.

— Ale ja musiałabym zmienić toaletę — zawachała się Hortensja.

— Niekoniecznie — zapewniał książę. — Ale jeżeli pani tak chce, to ja z przyjemnością poczekam i będę cierpliwy, jak anioł!

— Nie będę pańskiej cierpliwości wystawiała na próbę — zaśmiała się Hortensja — niech pan sobie przegląda tę moją kasetkę z akwarelami.

Książę taki był zadowolony, że ani myślał zaglądać do kasety, bo był zajęty własnymi myślami.

Ale radość mąciła mu obawa, że asesor może nadejść i przeszkodzić planowanej wyprawie.

— Jeżeli by on nadszedł teraz na swoich długich nogach, to już musiałbym powiedzieć, że mam pecha.

Poczciwy książę z niechęci do Felderna dopuścił się niesprawiedliwości. Nogi bowiem Felderna nie były dłuższe, niż jego własne.

Ale Feldern nie pokazywał się na szczęście na horyzoncie, natomiast wyszła Hortensja w dystyngowanej czarnej sukni i kapelusiku z gazy, który na jej złotych włosach wyglądał cudnie.

Książę z nerwowym pośpiechem podał jej ramię, sprowadził na dół do powozu, pomógł wsiąść, potem sam wskoczył na siedzenie.

Za chwilę, piękny pojazd potoczył się wartkim biegiem, przechodnie z podziwem i zazdrością patrzyli na nich, a Hortensja cieszyła się jak dziecko.

Książę z zachwytem spoglądał na nią i nikt mu tego za złe nie weźmie, jeżeli się dowie, że on nie wybrał tej właśnie najkrótszej drogi do matki, ale przeciwnie, wcale dobrze nawet kołował, zanim powóz wjechał w wysypaną żwirem aleję przed willę księżnej. Cóż to komu szkodzi, że jechali dłużej, zwłaszcza, że Hortensja tak się tym cieszyła.

— Oznajmić księżnie pani, panią Waldau! — zawołał książę z taką dumą, jak gdyby był przywiózł królewnę, do lokaja staruszka, który wybiegł na ich spotkanie — ale prędko, bo my idziemy tuż za tobą!

W salonie urządzonym po staroświecku, ale bardzo elegancko, gdzie ściany były obite wyciskaną skórą, a meble taką samą skórą obciągnięte, czekali krótko na odpowiedź księżny.

Wnet zjawił się lokaj i oznajmił, że księżna pani prosi.

Sparaliżowana staruszka, podniosła się z siedzenia na ich przywitanie i wyciągając obie ręce do przybyłej, rzekła:

— Jak to ładnie ze strony pani, że spełnia egoistyczne życzenie chorej!

Przycisnęła ją do siebie i z niekłamanm podziwem patrząc na nią, ucałowała ją w białe dziwicze czoło.

Ona zarumieniła się, bo jej to przypominało matkę i ucałowała ręce starej damy.

— Czego tak patrzysz na mnie? — spytała księżna żartobliwie syna, który patrzył na nią, jakby chciał spytać.

— A co?

Księżna przyjęła zatem Hortensję nie tylko bardzo uprzejmie, ale i serdecznie, z czego syn jej był ogromnie zadowolony.

Pomógł na prośbę matki zdjąć Hortensji paltocik i kapelusik, ale gdy się zabrał także do tego, aby jej pomóc poprawić włosy, a ona pogroziła mu paluszkiem, matka rzekła z uśmiechem.

— Jesteś niegrzeczny, ale za duży, żeby cię postawić w kącie. Pójdziesz zatem na wygnanie. Idź do kucharza i powiedz mu, żeby obiad nie wypadł zanadto jarsko, a nie potrzebujesz prędko wracać! Możemy się obejść bez ciebie.

Żart ten poprzedzony był uprzejmym i serdecznym zaproszeniem na obiad, który Hortensja przyjęła bez niepotrzebnych ceregieli.

Gdy książę wyszedł, odpowiedziawszy również żartobliwie, księżna zmieniła ton i zaczęła poważnie.

— Skoro jesteśmy same muszę pani powiedzieć, że jest mi pani bardzo sympatyczna i cieszyłabym się, gdybym wiedziała, że nie bez wzajemności.

— Księżna pani taka łaskawa dla mnie — odrzekła Hortensja prawie wzruszona tą serdecznością — że mogę się przyznać otwarcie: Całując dłonie księżnej pani, przypomniała sobie nieboszczkę matkę i na chwilę nie czułam się tak osamotnioną, jak jestem zawsze.

Łzy miała w oczach, gdy to mówiła.

— Niech pani nie traci nadziei! — pocieszała księżna, zrozumiawszy, jak jej się zdawało, co się dzieje w jej duszy — a jeszcze panią szczęściem obdarzy jasnymi promieniami.

— Cała moja nadzieja w Bogu!. — odpowiedziała Hortensja, z nadziemskim spokojem.

Ale księżna nie zrozumiała jej dobrze.

— Sądziła, że ona kocha Petöfiego i że w tym kierunku zwrócone są jej nadzieje, A że sama kochała bardzo syna i wie-

działa, co on odczuwał dla tej kobiety, przeciwko której przemawiały tylko przesądy arystokratyczne, postanowiła sobie z nimi się nie liczyć dla szczęścia dziecka.

Gdy Piotr Petöfy wrócił i udając mistrza ceremonii oznajmił obiad, kazała się zawieźć do stołu, gdzie zajęła pierwsze miejsce.

Petöfy poprowadził do stołu Hortensję, a księżna wpięła we włosy dwie róże z bukietu, który stał na stole.

— Gdyby pani była moją córką — rzekła czule — musiała by pani zawsze nosić takie róże we włosach.

Książę zbyt był eleganckim, by teraz wyjechać z komplementem, jak Hortensji z tym do twarzy.

Obiad był pyszny, a gdy szampan szumiał w kielichu, odezwała się księżna:

— Piję na szybkie zobaczenie się powtórne! Mam nadzieję, że pani będzie pamiętać o moim osamotnieniu i zechce mnie znowu odwiedzić.

— I ja się przyłączam! — zawołał książę — i proszę, żeby mi zawsze wolno było odwozić panią!

— Dziękuję bardzo! — rzekła Hortensja — ale tyle trudu dla księcia...

— Gdyby mu to sprawiało tak wielki kłopot — rzekła, uśmiechając się księżna — nie prosiłby o to tak natarczywie.

Z zadowoleniem spoglądała na przyszłą synową.

Jako osoba doświadczona poznała odrazu, że Hortensja nie ma nic kokieterii, ani pojęcia o tym czarze, który wywiera, i to było rękojmą, że Piotr będzie z nią szczęśliwy.

Po obiedzie towarzystwo wróciło do buduaru księżnej, aby wypić czarną kawę podaną w maleńkich filiżankach; następnie Hortensja zauważyła, że czas wracać.

— Puszczę — rzekła księżna — ale pod warunkiem, że pani niedługo każe mi czekać znowu na siebie. Pietrek, zadzwoń dwa razy, Jan będzie wiedział, co to znaczy!

Na odgłos dzwonka zjawił się lokaj, niosąc dwa piękne bukiety cieplarnianych kwiatów.

Księżna i syn spojrzeli na siebie i roześmiali się.

Oboje bowiem, nawzajem nic o tym nie wiedząc, kazali zrobić bukiety dla Hortensji.

Nie możemy pani obarczać dwoma — śmiała się księżna.

Mnie musisz tym razem ustąpić, synu.

W dalszym ciągu okazało się też, że oboje, matka i syn te same mniej więcej kazali wybrać kwiaty do bukietu, tak, że nie można było rozeznać, który pochodził od księżny, a który od księcia.

— Niech pani teraz sama wybiera i sama domyśla się, kto jest ofiarodawcą — zaproponowała wesoło staruszka.

— Księżno — odpowiedziała Hortensja z naturalnym wdziękiem — podwójną wartość będzie to mieć dla mnie, gdy księżna pani własną ręką mi poda.

Księżna czuła szczerość jej słów i mile dotknięta podała jej z uprzejmymi słowami jeden z bukietów.

Drugi nienaruszony leżał na stoliku marmurowym.

Książę niezadowolony wziął go do rąk i nerwowo zaczął skubać jedną różę.



Hockey na lodzie.

Hortensja zauważyła, że jest on niezadowolony i nie mogła zmieść tego, że to właśnie z jej przyczyny.

— Książę! — rzekła do niego — co panu zrobiły te kwiaty, że je pan niszczy! Myślałam, że je książę mnie chce ofiarować?

— Ach, pani! — zawołał Piotr, natychmiast poruszony — teraz, gdym jedną różę wyskubał, nie mam odwagi ofiarować pani tego bukietu. Jutro odszkoduję, dobrze?

— Nie, zabroniła Hortensja, właśnie chcę ten i będę się z nim tym lepiej obchodzić, im gorzej go książę maltretował!

Wzięła obydwa bukiety sama, pożegnała się z księżną, która jeszcze raz zapraszała ją bardzo serdecznie, a synowi, gdy ją całował w rękę na pożegnanie, szepnęła:

— Bóg niech pobłogosławi twój wybór, synu!

Odwożąc Hortensję, myślał sobie książę, że wobec zgody matki, szczęście jego w małżeństwie z Hortensją, jest tylko kwestią czasu.

ROZDZIAŁ CCLIV.

Domek na przedmieściu

Na przemieściu Londynu znajduje się domek, który po angielsku miał nazwę „Cottage", t. zn. chata. Był też bardzo mały, miał na parterze kuchnię i dwa pokoiki i tyleż było na poddaszu. Przed domkiem był ładny, czyściutki ogródek.

W tym skromnym domku mieszkała tak bogata niegdyś, pani Snob z córkami. Dom swój duży na Kensington Place wynajęła i żyła z czynszu tego najmu, wspominając tylko ze łzami dawne dostatki.

Miejsce dawnej rzeszy lokai zajmowała stara Sara, która dawniej doznała od Snobów wiele dobrego i teraz służąc im, okazywała wdzięczność.

Ale, że staruszka sama niedomagała i nie mogła podołać wszystkim robotom, więc panny musiały pomagać.

Robiły chętnie, bo w pracy zapominały o swych troskach, więc utrzymywały dom w porządku, pilnowały ogródka, nie dbając o pielęgnowanie rąk i w ogóle przestały się stroić.

Nie było śladu między nimi żadnej zazdrości, ani dawnej pochopności do kłótni. Zbliżyły się i polubiły dopiero w niedoli i teraz w świętej zgodzie pocieszały stroskaną matkę, przygnębioną niezasłużonym wstydem i usiłowały uprzyjemnić jej starość.

Znajomi i krewni zapomnieli o nich zupełnie, a gdy je spotkali na ulicy, odwracali głowy, albo udawali, że ich nie poznają, choć dawniej, gdy były majętne, cisnęli się do nich pilnie, żyć nie mogli bez nich.

Jeden tylko Robert Snob i brat jego Filip znaleźli się uczciwie i pozostali im wierni. Był to ten sam, który w Paryżu zaprosił kuzynki na wspaniały obiad i mimowoli przyczynił się do tego, że po raz pierwszy wpadły na trop niewierności małżonków.

Teraz miał z bratem na spółkę sklep i powodziło im się dobrze.

Oni to jedynie z całej rodziny i gromady obłudnych przyjaciół nie opuścili Snobów w nieszczęściu.

Dowiedziawszy się z gazet, co je spotkało, zajęli się nimi, pomogli w szukaniu mieszkania i wynajęciu Cottage'y, złożyli pani Snob pozostałe z całego majątku dwa tysiące na pewną hipotekę i nie szczędzili trudu, by im uprzyjemnić życie.

W niedzielę po południu, zamiast szukać przyjemności wielkomiejskich, szli na przedmieście do nich, a nigdy z próżnymi rękoma. Zawsze przynosili to wino, to sztukę dziczyzny, kwiaty, książki lub nuty, słuchali gry Inez i Fidez z zachwytem, a z zajęciem gadatliwych opowiadań pani Snob.

Panienki Snob, które dawniej zadzierały nosy przed nimi, teraz wdzięczne im były za to serce i ceniły ich szlachetne przywiązanie.

Pewnego razu, gdy był nieładny wieczór wiosenny, siedziały w domu, matka nad gazetą, Fidez naprawiała swoją suknię domową, a Inez szyła coś dla biednych,



Niemiecka dziennikarka wśród kobiet Etiopskich.

Oddała im akcje w przechowanie, a oni wystawili kwit na nie. Potem w drugim pokoju gawędzili jeszcze czas jakiś przy herbacie, wreszcie kuzynowie pożegnali się i poszli.

— Wiesz ty co? — rzekł Filip w tramwaju do brata — obawiam się, że gdy ciotka znowu się wzbogaci to wróci do tego domu na Kensington i będzie ta sama historia, co dawniej! Skończą się nasze piękne pogadanki z kuzynkami, bo one znowu będą oblegane przez dawnych przyjaciół, a my będziemy w tych wspaniałych salonach grać równie nędzną rolę, jak dawniej.

— Poczekajmy! — rzekł Bob także niewesoły — w każdym razie jednak, nie można im nie życzyć tego szczęścia. One cierpiały tyle, że ta wygrana jest dla nich jakby słońcem po burzy.

Umilkli obaj i patrzyli na wieczór wiosenny. Każdy zajęty swymi myślami, które jednak do siebie były równie podobne, jak ci dwaj bracia.

bo teraz dopiero nauczyła się dobroczynności.

— Dzieci! — zawołała nagle pani Snob — czytam tu, że Sheffieldzkie akcje kopalni srebra zaczynają iść w górę. Ojciec wasz kupił także akcje już dawno, za bezcen i spodziewał się zysku, a potem gdy się okazało, że nic z tego, mówił, że to jego jedyna nieudała spekulacja. Poświećcie mi przy biurku!

Z dużego domu swego wzięły tylko starożytne meble matki, a nowsze wszystkie były wynajęte.

Staruszka zasiadła przy biurku i szukała.

— Muszą być — rzekła szukając — ja schowałam wszystko, co miało jakąkolwiek wartość.

— Są! — zawołała z radością — sto osiemdziesiąt sztuk! Wczoraj nie były warte ani centa, ojciec zapłacił za to wszystko może 3 funty szterlingów, a teraz każda poszła w górę na 38,25! Co za szczęście dla nas! W tych minach spodziewano się znaleźć srebro i nie znaleziono, dziś pokazuje się, że tam jest miedź! Co za szczęście!

— Ach! — ucieszyła się Inez — nie będzie trzeba tak oszczędzać, mama będzie miała lepsze wygody i dla biednych będzie można więcej zrobić!

— Trzeba sprzedać! — zauważyła mama Snob — sto osiemdziesiąt akcji po 38 funtów szterlingów, to prawie 7 tysięcy! Ładna sumka jak na nasze stosunki!

— A może jeszcze nie sprzedawać? — spytała Inez, przeczytawszy artykuł w gazecie — może lepiej czekać, aż znowu pójdą w górę? Jeśli na samą wiadomość o znalezieniu miedzi tak podskoczyły, to co dopiero będzie, gdy kopalnie będą w ruchu?

— Żeby tylko nie spadły — obawiała się pani Snob — bo stracimy wszystko. Zresztą spytamy się o radę Fila i Boba.

Nie mówiły już o tym, bo od czasu, gdy się przekonały, że przeniądze nie uchroniły ich od hańby i zmartwienia, nie przykładały do bogactw już takiej wagi.

W niedzielę, wracając z nabożeństwa, spotkały kuzynów.

Robert przyniósł dla ciotki herbaty, ponieważ się skarżyła, że jej nie smakowała ta, którą miała i cukierków na kaszel.

Dla Inez ofiarował z nieśmiałą miną nowe dzieło Pagne'a i skórkowe rękawiczki, ponieważ zauważył, że nosi bawełniane. Gdy mu Inez serdecznie podziękowała i bardzo się cieszyła podarkami, dobrotliwa twarz Roberta promieniała z radości.

Filip zaś okazywał bardzo wiele zainteresowania dla Fidez, której przyniósł różne rzeczy, a mama Snob przez niego także nie była pominięta.

Gdy się tak cieszyli i dziękowali sobie za te podarki, Sara wsunęła głowę do pokoju i oświadczyła bez wielkich ceremonii, że rosół całkiem wystygnie na stole, jeżeli państwo nie pójdą jeść.

Robert podał ramię pani Snob, Filip poprowadził do stołu obie kuzynki.

Nakrycie było czyste i miłe, nic nie przypominało srebra i kryształów. Na środku stołu stał tylko duży bukiet.

Zamiast lokaja, usługiwała przy stole sama Inez z uprzejmą serdecznością.

— Jakoś tu o wiele u was przyjemniej — przyznawał się Bob — niż tam na Kensington Platze. Zawsze się tam bałem, żeby czegoś nie stłuc, komuś nie nadeptać na nagniotki, do Inez ani się zbliżyć nie mogłem, taka była oblężona i zdawało mi się, że tam nie było by mnie brakowało, nikt by mojej nieobecności nie zauważył. Tu o wiele przyjemniej! Pozwoli mi ciocia zawsze tu przychodzić?

— Mój złoty — odpowiedziała wzruszona pani Snob, jeżeli to nie zbyt wielka wasza ofiara, siedzieć tu w wolny czas z nami, stroskanymi kobietami, to nam jest zawsze ogromnie miło was widzieć.

Inez podała mu rękę na znak, że i ona się z tym godzi.

Zdziwili się, dowiedziawszy się, że stara ma akcję sheffieldzkie i nie radzili sprzedawać, bo to mogło w grzyszłości reprezentować wielki majątek.

— Nie tęsknię za majątkiem — rzekła pani Snob — ale posłucham cię. Oddaję ci akcje i jestem pewna, że nikt naszych spraw lepiej nie będzie pilnował, jak ty i Filip.

ROZDZIAŁ CCLIII.

Złoto zamiast chleba

Tu, w Meksyku, myślał hrabia Eryk Rauch, opuściło mnie szczęście do kobiet. Ja, były oficer — teraz jestem dezerterem i to przed czarnymi, ładnymi oczyma. O, gdybym o tym wiedzieli moi koledzy!

Tak myśląc, jechał wśród nocnych cieni, ustępujących powoli światłu dziennemu.

Całonocna jazda zmęczyła go.

Zsiadł z konia, który smacznie zaczął zajadać soczystą trawę i położył się na trawniku.

Gdy jednak głód jego silniejszy był niż zmęczenie, rozglądnął się, czy nie ma gdzie w pobliżu jakiego dziko rosnącego drzewa owocowego.

Rzeczywiście odkrył figę i pokrzepił się jej owocami.

W ciągu dnia spodziewał się natknąć na ludzi, ale jego nadzieje wcale się nie ziściły.

Głód dokuczał mu coraz bardziej.

Zabawił się więc sam w strzelca i kucharza, zastrzelił młodą antylopę, których tu było bardzo wiele. Z trudem nazbierawszy chrustu, rozniecił ogień.

Nad płomieniem obracał rozćwiartowane części zwierza, ale okazało się, że Jore i Zenobir (Meksykanie, którzy go dawniej prowadzili) umieli lepiej tę sztukę. Mięso zwierzchu spalone było na węgiel a wewnątrz zupełnie surowe.

Nie bardzo mu to smakowało, ale człowiek w młodym wieku, zadowoli się w potrzebie byle czym.

Spał pod gołym niebem bardzo dobrze i przez tę drugą noc, opierając głowę o brzuch wiernego rumaka.

Nazajutrz przez cały dzień na próżno wyglądał po drodze mieszkań ludzkich.

Zwrócił się na północ w nadziei, że w tej stronie prędzej napotka osady ludzkie, ale nadaremnie.

Pod wieczór zajechał nad brzeg strumyka, który, jak wskazywało szerokie łożysko, w czasie deszczów płynął szerokim korytem, teraz jednak wił się tylko drobnym, cienkim pasmem między kamykami.

Ciąg dalszy na stronie 113.

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu

Dobre rady p. Zofii

ODESZŁAŚ...

Wspomnieniu „Stelli Maris" poświęcam.

Odeszłaś,
cicha i spokojna,
próżna trosk, próżna bólów...
Teraz cisza jest z Tobą,
cisza dostojna.
Ona ogarnia Cię całą
sobą,
takąś teraz cichą, małą...
A z nami ostał się żal
po Tobie.
I ten żal
towarzyszy Ci wciąż,
nawet w Twym grobie.
Żegnaj!
Niechaj Ci wszystkie kwiaty raju
rozpachną.
Niechaj w tym lepszym kraju
słońce Ci nie zachodzi,
a Twoja stopa, Arachno,
w jasności Bożej brodzi...
Takie życzenie, miast wieńca kwiatów
na grobie,
posyła cichej i niemej
Tobie,
nieznajomej — nieznany,
daleki,
nigdy niepoznany.

Adam Czekalski.

CZY TO SMUTEK?

„Smutna i brzydka Irka". Iruś kochana — Twój list absolutnie, ale to absolutnie nie wygląda na to, aby go pisała smutna panienka. Jest on jedną rakietą humoru, wystrzelającą co słowo w chmury i tam jeszcze świecącą fosforycznym ogniem śmiechu. Sądzę, że Twoje otoczenie ma dużo wesołych chwil dzięki Tobie.

Teraz krótkie objaśnienie. „Pani" pisze się zarówno do mężatki, jak panny — jest to jedna z form grzecznościowych. Wujek Janusz nie jest tym za kogo go podajesz. Młody to jeszcze i przystojny kawaler.

Powiedz mi proszę, czy już nawiązałaś serdeczny kontakt z „Kraniakami"?

Jak Ci się podobało Twoje własne zdjęcie w „Kraince"? Tak wybornie zagrałaś tam chłopca, że dostałam tu zapytanie jednej „Krainianki", czy to Sympatyczka, czy Sympatyk?! Posyłam Ci wesoły uśmiech, bo czas przedrukować Twoje komunikaty:

„Wesoła Tusiu z Grudziądza", czy prosić można o listy? Tak bardzo zazdroszczę „szczęśliwych łowów" — chciałabym i ja tak umieć polować! Serdecznie pozdrawiam.

„Echo". Chętnie napisałabym list, ale się boję, że nie otrzymam odpowiedzi. Napisz pierwsza.

„Ali — Alu" — długonożny przyjacielu — pozdrawiam!

GDYBYM...

„Orlica". Moja Droga, nie wiesz, jak mi było przykro wówczas, przy czytaniu Twego listu — gdybym miała blisko swój dom, Ty byłabyś pierwszym moim gościem na Noc Wigilijną i całe Święta. Nie byłabyś wówczas sama i smutna, o nie! A tak — odłożyłam szybko Twój list, wsunęłam go gwałtownie w środek innych, gryząc wargi, aby się nie rozbeczeć, jak mała dziewczynka. Musiałam zapomnieć o nim, a dziś znowu mnie boli! Mocno boli! Mogę sobie powiedzieć, że jesteś jedną z najdzielniejszych istot jakie znam, a znam ich sporo, bo przecież całą liczną „Krainę". I niech Cię Twoja dzielność nie opuszcza, a sądzę, że uśmiech prawdziwego szczęścia i Twojej orlej twarzy stanie się jeszcze udziałem. Ja w to wierzę i Ciebie proszę, abyś wierzyła.

I mocno zależy mi na tym, abyś zawsze pisała mi o zmianach zaszłych w Twym życiu — będziesz pamiętać?

Wiem, że Ty nie zginiesz, bo jesteś inteligentna i przedsiębiorcza, ale chcę też wiedzieć konkretności. Fotografie Twoje ładne, schowałam sobie na pamiątkę.

A teraz ściskam Ci po przyjacielsku dłoń i polecam Cię pamięci „Zuch — dziewczyny", „Przedwiośnia", „Psyche", „Dor - On'a", „Wesołego Broneczka", „Zrównoważonego Jasia" i innym.

JEST NA TO RADA

„Idealistka". Szkoda, Dziecino, że nie podałaś mi swego poprzedniego pseudonimu. — Zawszę wolę wiedzieć, które z moich starszych „Krainiaków", mające już znany i lubiany pseudonim zmienia go lub odchodzi od nas. „Idealistka" — ładny pseudonim, tylko że... zawsze uważam, iż w człowieku pokutuje więcej wad, błędów i twardych cech rzeczywistości, niż ideałów. I po co to chwalić się tą odrobiną ideału, którą się jeszcze posiada?!... Wygląda to tak trochę, jakby się gwałtem wystawiało na pokaz zalety swego charakteru, mówiąc bezsłownie: patrzcie, podziwiajcie i szanujcie mnie!

Więc Ty prganiesz znaleźć wśród nas kogoś, ktoby szczerą korespondencją rozjaśnił Ci życie? Na to jest rada — pisz do bardziej Ci przypadających do serca pseudonimów, a na pewno wśród nich znajdziesz to, co szukasz.

Wierszyk oddałam Wujkowi Januszowi do teczki.

Pozdrawiam Panią serdecznie!

NIE SĄDZĘ!

„P. H. J. — Rozdziaty". Cieszę się, że tak się rozwiązała sprawa, którą poruszałyśmy kilka razy — postaraj się zupełnie oswobodzić od tej osoby.

Nie sądzę, aby życie na wsi było tak zupełnie ogołocone z wszelkich przyjemności — np. ze sportów zimowych na wsi można równie dobrze korzystać, jak w mieście. Ponadto można kupić sobie radio „Detefon" — jest niedrogie, a daje dużo rozrywki.

Owszem, to o Tobie była mowa. Jeżeli zaś chodzi o wierszyki, to rzeczywiście pośpieszasz zbytnio z wysyłką — zawsze po napisaniu należy wiersz odłożyć na 2—3 dni i nie myśleć o nim wcale. Po 3 dniach, gdy go przeczytasz, znajdziesz niejedno do poprawienia.

Życzę Ci dużo przyjemności w komponowaniu i oznajmiam z przyjemnością, że ostatni Twój wierszyk wzbudził zainteresowanie u pewnej „Krainianki" dla Twej osoby. Otrzymałaś już jej list? To dobrze!

„Don - Jouan'owi" oznajmiasz, że bardzo chętnie podyskutujesz z nim na różne tematy pod warunkiem, że napisze do Ciebie pierwszy. Pozdrawiasz go uprzejmie!

Całej „Krainie" ślesz serdeczne uśmiechy!

POWIEM CI!

„Carmen". Miło bardzo było mi przyjąć wszystkie dobre słowa Twoje, Droga „Carmen" i serdecznie Ci za nie dziękuję — wzajemnie mogę zaznaczyć, że zawsze będę się starała pracować ku zadowoleniu Was wszystkich, całej „Krainy"!

Owszem, myślę o tym, aby dawać coraz wartościowsze powieści — zresztą miałaś możność stwierdzenia już dużej poprawy, a będzie lepiej jeszcze.

W jednym się mylisz, ale to Ci powiem, jeżeli raz może odwiedzisz naszą redakcję. Pisz częściej i zawsze obdarzaj równie gorącą sympatią naszą „Krainkę".

Życzę Ci wszystkiego najlepszego w życiu i posyłam życzliwy uśmiech!

A teraz komunikaty:

„Dziewczę z dal. Ojcz." Odezwij się, Maleńka i daj znów jakiś wierszyk.

„Przedwiośnie", jestem pełna uznania i ściskam dłoń dzielnej osóbki.

„Bajko"! Ty demokratko ducha, z Tobą można prowadzić interesującą polemikę. Pa!

„Lawino", czupurna istoto, jak Ci się wiedzie w W.?

P. poruczn. Wach. — W — cki" — teraz pewnie już porządnie nęcą góry i narty? Wyjazd pewny? Mój plan się nie uda, okoliczności!

„Roztańczonej Izabelli" i „Rybakowi z Helu" dziękuję za pozdrowienia i takowe odwzajemniam, również wszystkim, którzy o mnie pamiętali!

P. A. Czekalskiemu życzę pomyślności w pracy i dołączam uścisk dłoni. Także dla „Chryzolita" i „Myśliwego".

Chciałabym chętnie nawiązać korespondencję z osobą, którą interesują zagadnienia psychologiczne.

NIE ŻYCZĘ CI!

„Hel". Cieszę się, że nabrałaś tyle sentymentu dla mnie, postaram się odpłacić Ci tym samym. Naturalnie, że Cię nie opuszczę, Maleńka, w smutku, — chociaż, jeżeli mam być szczera, nie widzę absolutnie przyczyn tego smutku. Sam fakt, że dziewczę inteligentne i ładne, a ponadto pracująca w biurze zmuszone jest mieszkać na wsi — nie winien być taką konkretną podstawą do smutku. Prawdziwe przyczyny smutku są znacznie poważniejsze i nie życzę Ci ich doznania na sobie.

Nawiąż korespondencję z „Krainiakami" i zapomnij o nudach, a z nimi zniknie ten jakiś smutek, o którym mi piszesz.

Pozdrawiam Cię mile i czekam na jasny list.

ZMIENIONY PSEUDONIM

„Orchidea". Jeden ze starszych pseudonimów przemienia się niniejszym w „Orchideę", proszę go nie pomijać i nadal w korespondencji!

Drogie Dziecko! Postaraj się przeboleć swoją krzywdę i znowu wyrobić sobie pogodne spojrzenie na wszystko. Życie to taki kołowrotek, który wiecznie kręci nasze losy. Jak Twoje zakręci znowu do góry, bądź przygotowaną na rzucenie śmiałego i pewnego siebie uśmiechu, który potrafi zdobywać. Zdobędziesz i Ty to, co umknęło Ci onegdaj — tylko pogodnie i bez łez!!!...

Posyłam Ci uśmiech krzepiący i przedrukowuję komunikaty do Twoich dobrych przyjaciółek:

„Bajkał". Nie zapomnę nigdy! I kochaj mnie zawsze!

„Różo Południa"! Ślę serdeczne pozdrowienia. Znam Panią z opowiadania „Bajkału".

Całej „Krainie" serdeczności!

MAM DUŻO PRZYJAŹNI

„Starsza Panna". Nie tylko pamiętam o P., ale w dodatku mam niesłychanie dużo sympatii i przyjaźni dla Pani. Ucieszyłam się też mocno fotografii darowanej mi na pamiątkę.

Dziwię się, że nie nawiązała Pani szerszej korespondencji z „Krainiakami", przecież każdy, zaraz po pierwszym liście, musi stwierdzić z przyjemnością, że rozmawia z nim kobieta inteligentna, dobrze wychowana i nowoczesna i pogodna. Ja zaś mogę dodać, że jest w dodatku przystojna.

Więc jest Pani sekretarką w majątku? W związku z tym ma Pani stale świeże wiejskie powietrze, wiejski chleb, wędliny i miód — pewnie, że na tych specjałach musi wychować się człowiek pełen zdrowia i tężyzny! Pamiętam, że była Pani w Solankach w Inowrocławiu — pisałaś mi o tym. A jak pojedziesz do Krynicy też proszę pamiętać o życzliwej Ci p. Zofii i przysłać widokówkę!

Na pytanie odpowiadam, że ma zawód wychowawczyni dzieci.

Wszyscy „Krainiacy" i „Samotny - Chorzów I" mają serdeczne pozdrowienia.

Kończąc, pozdrawiam Panią jak najserdeczniej i czekam na nowy, długi list.

NIE BĘDĘ SUROWA!

„Urszulka spod Grudziądza“. O, rzeczywiście dawno już nie pisałaś do mnie, ale nie chcę być surową i daruję Ci to zaniedbanie życzliwej przyjaciółki. Zadowolona jestem, że zdrowie Twoje już się polepszyło o tyle, iż już nie grozi Ci żadne niebezpieczeństwo. Skarz się aż do lata na niekorzystanie ze sportów, skoro to dla zdrowia konieczne, a za to w lecie wynagrodzisz sobie sowicie!

Cieszy mnie, że podoba Ci się tak ogromnie nasz tygodnik i dziękuję za wszystkie gorące słowa uznania !

Sądzę, że Sympatycy i Sympatyczki szybko przypomną sobie Urszulkę i wystosują do niej dużo miłych listów. Uczyńcie to koniecznie, „Krainiacy“.

A teraz posyłam Ci uśmiech koleżeński i przechodzę do komunikatów:

„Marylko znad Warty“, chciałam mieć w Tobie szczerą przyjaciółkę — zamilkłaś, zastanów się, czekam i ślę najserdeczniejsze pozdrowienia.

„Jasiu Sokole“! Kiedyś pisałeś — dlaczego zamilkłeś, czy to nie pomyłka, takiego nigdy nie znałam, a może zmiana pseudonimu, jeżeli tak, domyślam się kim jesteś i sprawiam Ci burę za to, że tak uporczywie milczysz. Powodzenia i wesołej zabawy w karnawale.

„Revelers“. Za pozdrowienia ślicznie dziękuję. Cieszę się bardzo, że odezwał się ktoś ze stron tak bardzo mi drogich. W tej chwili przypomniały mi się czasy gimnazjalne i wesołe chwile podczas każdych letnich wakacyj tam spędzone. Proszę cichutko o kilka słów. Życzę dużo słodyczy w Nowym Roku!

Apeluję do kogoś w granatowym mundurze, albo w zielonym, żeby zainteresowali się! Może „Nitram“ odezwie się?

A w końcu — kto zechciałby rowerem pojechać do Żnina? Szukam towarzyszy“.

ZAMIESZCZAM

„Zuch Dziewczyna“. Pozdrawiam Cię serdecznie, Maleńka, i proszę o długi, długi liścik. Prawda, że go już szybko otrzymam? Prenumeratę „Moich Powieści“ masz opłaconą do sierpnia br. włącznie, tak, że nie musisz się spieszyć z dalszą przesyłką pieniędzy.

Życzę Ci dużo powodzenia i zamieszczam Twój apel do „Maruty“.

„Dziewczynko Kochana. Na pewno znamy się, nie wiedząc jednak o tym, że obie jesteśmy sympatyczkami „Krainy“. Ja również w dzień Wszystkich Świętych byłam na wspomnianym cmentarzu i widziałam „Wirryta“. Wolałam jednak nic nie mówić, gdyż już raz pomyliłam się z sobowtórem „Wirryta“ i wolałam dać spokój tej sprawie. Ale teraz nie damy się! Zadzwoń do mnie pod numer 112-26 i proś „Zuch - Dziewczynę“, ale tylko w godzinach rannych. Może spotkamy się i poznamy, a potem wspólnie urządzimy obławę na „Wirryta“ i zdemaskujemy go. Pozdrawiam Cię serdecznie. Całej „Krainie“ serdeczności!

WZAJEMNIE!

„Czarnulka ze Świecia“. Dziękuję Ci za wszystkie słowa uznania i życzenia jak najlepsze i wzajemnie życzę Ci samego szczęścia i radości! I ponadto cieszę się na obietnicę częstej rozmowy ze mną. Wiem, że miło nam z sobą będzie, choćby dlatego tylko, że ja umiem pocieszyć, a Ty radę zastosować do siebie i w konsekwencji odczuć ulgę. Ja zaś bardzo lubię, gdy słowa moje i rady nie przemijają bez echa, lecz wydają konkretny skutek.

Całuję Cię i zamieszczam komunikaty:

„Halo! „Zawiedziony“ Czy mieszka Pan jeszcze w Grudziądzu? — Proszę napisać koniecznie do mnie, gdyż chciałabym znowu korespondować z Panem, a nie znam obecnego adresu.

Dla „Mileczka B. 86685“ — mocny uścisk dłoni. — Czy nie zechciałby Pan napisać? — Odpowiem chętnie, gdyż zainteresowałam się Panem“.

Panu Józefowi Baranowskiemu i panu Tadeuszowi Rawickiemu najwyższe uznanie za cudowne wiersze! Czy któryś z Panów nie zechciałby mi jednego poświęcić?

Ucałowanie buzi dla „Steni ze Żnina“ — list napiszę niedługo.

Halo! „Zofia z Gr.“, „Bajko“, „Mi“ — przesyłam Wam serdeczne pozdrowienia, i zapytuję, czy któraś z Pań nie zechciałaby ze mną korespondować?

Moc pozdrowień dla „Te - Em'a“ — „Przedwiośnia“, i „Morowego Chłopca“ — oraz p. M. Grzegorskiego z Sosnowca!

HALO!

„Marzenka z Ameryki“. Piszesz mi, Kochanie, w liście z życzeniami gwiazdkowymi, czy mogę umieszczać w „Raju kobiet“ wzory filet — otóż przyrzekłam Ci dawać od czasu do czasu robótki siatkowe i szydełkowe i pierwszy wzór na storę z koronką szydełkową już dałam do numeru bieżącego. Ciekawam, czy Ci się będzie podobał?

Obiecałaś przysłać mi swoje najnowsze i już amerykańskie zdjęcie — czekam na nie niecierpliwie!

Napisz mi, jak załatwiliście Państwo sprawę ewentualnej rozmowy przez radio. Czy się to udało?

No, kończę z braku miejsca, lecz czekam na bardzo, bardzo obszerny list od Ciebie.

A teraz do komunikatów, które są wprawdzie mocno spóźnione, ale ponieważ pochodzą aż z drugiej półkuli, więc trzeba im to wybaczyć!

„Halo! Czytelnikom „Moich Powieści“ oraz całej „Krainie“ życzę pomyślnego „Nowego Roku“. Teraz woda zamarzła, więc może by się niektórzy wybrali saneczkami do Ameryki? Proszę wybaczcie mi, ja żartuję.

Halo, „Humorystko“! Zasyłam Ci dużo pozdrowień, również dla Rodziców i Braci! Jak się czujesz? Opisz mi — jestem ogromnie ciekawa! Całuję Cię i pisz!“

CZYTAM Z PRZYJEMNOŚCIĄ

„Puer“. Czytam list Pana, Miły Chłopcze, z prawdziwą przyjemnością — nie dlatego, abym rzadko otrzymywała listy tak ciepłe, lecz dlatego, że jest on tak ogromnie wnikliwy i bezpośredni. Myśli Pan tam o p. Zofii z „Krainy“ nie tylko jako o uosobieniu wszelkich zalet, ale o człowieku z krwi i kości, któremu zdarzają się też przykrości i beznadziejność smutku.

Co zaś do tematu poruszonego na początku listu, to jest on słuszny, niemniej, jak miał Pan możność stwierdzić, bez większego znaczenia dla wszystkich. Zresztą to już od bardzo dawna.

Cieszę się, że na ogół jest Pan zadowolony z życia, a zwłaszcza swej pracy i życzę Panu tego nadal. Zresztą przy Pana dobrych zasadach, życie musi układać się spokojnie i miło.

Posyłam przyjemny uśmiech i czekam na nowy list.

Z CHĘCIĄ!

„Margot“. Owszem, z chęcią przyjmuję Cię do grona swoich „dziatek“ i wiem, że będziesz wśród nich na nieostatnim miejscu! Zdążyłam to już wywnioskować z pierwszego Twego listu. Pisz często i więcej o sobie — polubiłam Cię, nieśmiało Dziewczynko!

„Dziewczę z Gór“ i „Samotna Klaruta“, mają od Ciebie pozdrowienia, ponadto cała „Kraina“.

NIE POMIJAJCIE!

„Dziewczę z Gór“ bardzo serdecznie prosi wszystkich „Krainiaków“ i każde z nich z osobna o pamięć i listy! Więc nie pomijajcie milczeniem jej prośby i odezwijcie się po swojemu uprzejmie i serdecznie!

„Biała Uajali“ ma specjalne pozdrowienia i cała „Kraina“ serdeczności!

CO Z TOBĄ?

„Śnieżyca“. Dlaczego Pani do nas nie pisze, „Śnieżyco“?! Po takim dobrym wstępie, zdawało się, że zostanie Pani jedną z najserdeczniejszych przyjaciółek „Krainy“, a tymczasem okazuje się, że spadłaś nam razem z najautentyczniejszą śnieżycą i jak ona znikłaś gwałtownie.

Co z Tobą? Napisz nam szybko o sobie i popraw się, proszę.

Teczka Wujka Janusza

NIE TRZEBA...

„Kochane oczęta“. Nie trzeba mi tak gorąco dziękować, gdy raz jestem łaskawy, gdyż następnym razem mogę stać się... okrutnym. Zaraz się Pani przekona, Droga Panno Rito!: nadesłane wierszyki, owszem, miłe są i ciepłe, jednakże posiadają bardzo słabą formę. Wszystkie znalazły gościnę w koszu redakcyjnym. Czy bardzo Pani zmartwiona? Jeżeli tak, to proszę rozchmurzyć się i pomyśleć sobie, że i Kraków — nie od razu przecież zbudowano. I proszę znowu do mnie napisać! Czy zgoda?

OCZEKUJĘ...

„Czarodziejka“. Tym razem wierszyki przypadły mi do gustu. Oddaję obydwa do druku. „A gdy wspomnienie zadzwoni...“ — do „Moich Powieści“, „Na gromniczną“ zaś do I. K. P. Bardzo serdecznie Panią pozdrawiam i oczekuję nowych wiadomości i nowych wierszyków.

A GDY WSPOMNIENIE ZADZWONI...

A gdy wspomnienie zadzwoni w wieczoru srebrnej godzinie —
W tęsknocie cichej wołany — ktoś echem wspomnień przypłynie.
Ktoś miłowany tu przyjdzie — dobre obejmą mnie ręce
I spłynie radość ku mnie, spłynie i kres położy męce.
Ktoś miłowany mi powie — tęsknotę twoją uciszę,
Smutki zcałuję, upieszczę, w ramionach mych ukołyszę.
Wszystko się ku mnie przybliży — złudzeniem takim omami —
I myśleć będę na pewno, żeśmy znów razem i sami.
— — — Wiatr się melodią rozszumi, echem odpowie wspomnienie,
Ja sama też będę dźwiękiem, a w krąg mnie — srebrne dzwonienie!

„Czarodziejka“.

NIEZAMÓWIONYCH WIERSZY — NIE HONORUJEMY

P. H. J. Wierszy niezamówionych — nie honorujemy. Jeżeli więc zgodzi się pan bezinteresownie zamieszczać swoje wiersze, to proszę je dalej nadsyłać. Zresztą w moim dziale są drukowane tylko wiersze początkujących poetów, więc nie wiem, czy to będzie Panu odpowiadało. Z trzech nadesłanych wierszyków pozwolę sobie przedrukować „Złoto“. —

ZŁOTO

W jedno szare dżdżyste rano —
dziwnie się złożyło życie,
gdy pożegnał swą wybraną
w jedno szare, dżdżyste rano.
Bo mu wtedy poznać dano
deszczu żałość, wichru wycie,
w jedno szare dżdżyste rano
dziwnie się złożyło życie.
Słońce skryło się w półcieniu,
biegły chmury ołowiane,
kiedy przyszła w zamyśleniu,
słońce skryło się w półcieniu...
Więc zrozumiał w przygnębieniu,
że nadzieje już rozwiane,
słońce skryło się w półcieniu,
biegły chmury ołowiane...
Była jasną, złotowłosą
i uroczą, jak marzenie...
pragnął wziąć ją choćby bosą,
była złotą... jasnowłosą...
Łezki zmyła ranną rosą,
przeliczyła mu kieszenie —
i uroczą jak marzenie...
Poszli dalej swoją drogą,
każde w inną życia stronę...
strony dwie się zejść nie mogą,
poszli dalej swoją drogą...
Choć przypomniał czas złowrogi
drżenie serca przytłumione,
poszli dalej swoją drogą...
każde w inną życia stronę...

Henryk Jacek.

WIERSZE CORAZ LEPSZE...

P. H. J. R. Wierszyki coraz to lepsze, coraz oryginalniejsze. Proszę dalej pracować i wierzyć, że kiedyś nie będą za słabe do druku, ale zupełnie dojrzałe. Z ostatniej przesyłki wybrałem do druku — „Gwiazdka i miłość“. Pozdrawiam Panią!

GWIAZDKA I MIŁOŚĆ

Kiedy spojrzysz tam na niebo,
Tyle gwiazdek cudnych świeci
Nad tą naszą czarną glebą...
O, niech taka jedna gwiazdka
W twym serduszku radość wznieci!...
O — tam! — widzisz? — ta ostatnia,
Ta maleńka, opuszczona,
To jest twoja dusza bratnia,
Sieroteńka,
Bo jak miłość oddalona...
Patrz wieczorem na nią długo,
Patrz i kochaj się w niej skrycie —
Ona ciebie świetlną smugą
Poprowadzi przez szlak życia...

H. Justyńska.

Raj kobiet



Piękna markizetowa stora wykończona szeroką, szydełkowaną koronką.

Nawet podczas snu czuwa matka nad swym dzieckiem

Wiemy, że sny są wypływem wyłącznie zewnętrznych wrażeń. Tak, wiemy, ale nie zawsze o tym pamiętamy.

Przed kilkoma laty zdarzył się w Berlinie wypadek, który jasno dowodzi, że nad snami naszymi panują wrażenia zewnętrzne. W wypadku tym sen uratował życie kilkorga ludzi.

Pewnej kobiecie śniło się, że dzieci jej się palą. Ocknąwszy się, spostrzegła, że jej pociechy narażone były w istocie na niebezpieczeństwo uduszenia. Pokój, w którym dziatwa spała, był przepełniony dymem — dym ten wtargnął także do sypialni matki i wywołał sen.

Poeta norweski Strindberg opowiada o śnie, który potwierdza powyższe spostrzeżenia. Mówi on następująco:

„Śniło mi się, że sokół dziobał mą lewą rękę i utopił pazury w dłoni. Gdym zbudził się rano, czułem jeszcze ból, który trwał do południa. Tu mogły zachodzić tylko dwa powody: albo gwóźdź, albo igła, tkwiąca w pościeli, ukłuła mnie, a jam bujał we śnie po polach".

Osoby, obdarzone bujną wyobraźnią, skłonniejsze są do snów, niż ludzie normalni. Lepiej jest nie czytać przed spoczynkiem wzruszających romansów i opisów okropności, bo, jak wiadomo, ostatnie wrażenia z dnia powtarzają się we śnie.

Wesołe towarzystwo lub wesoła książka w ostatniej chwili przed spoczynkiem, zwłaszcza tuż po bytności w teatrze na wzruszających tragediach i dramatach — oto najlepsza przeciwwaga przeciwko snom.

Romantyczna śmierć Cyganki

W listopadzie zeszłego roku w majątku Jabłowo polowy Henig postrzelił Cygankę Luludzie Zakatorz. Odstawiono ją do szpitala miejskiego w Starogardzie. Rany były tak niebezpieczne, że Cyganka opadała coraz więcej na siłach. Przeczuwając swój bliski zgon, prosiła o przeniesienie jej na wóz cygański, albowiem nie chciała umierać w szpitalu, tylko na swoim wozie. Prośbie jej uczyniono zadość. Cyganka zmarła w obecności męża i trojga dzieci, na wozie cygańskim.

Krewna żony Napoleona III w paryskim przytułku dla ubogich

W komisariacie policji przy dworcu Austerlitz w Paryżu zjawiła się biednie ubrana, jeszcze przystojna kobieta w średnim wieku. Dyżurnemu sierżantowi opowiedziała, że od dwu dni nic nie jadła, nie ma ani centima w kieszeni i prosi o jakikolwiek zasiłek i pomoc.

— Nazwisko — zapytał sierżant.

— Elżbieta Bonaparte de Montijo.

Zdumiony policjant poprosił o dowód osobisty, który rzeczywiście wykazał, że kobieta, prosząca o zapomogę, jest potomkinią cesarzowej Eugenii, słynnej z piękności żony Napoleona III.

Odkrycie wywołało w komisariacie zrozumiałą sensację. Policjanci zorganizowali między sobą zbiórkę, aby nakarmić i napoić cesarską krewną.

Komisarz policji zdołał uprosić Armię Zbawienia, aby ją przyjęła do swego przytułku. W domu Armii Zbawienia Elżbieta Bonaparte de Montijo oświadczyła krótko, że przybyła z San Sebastian. O swoich przeżyciach podczas rewolucji nie chce nic mówić. Zamierza wyjechać do Bukaresztu, gdzie posiada znajomych, albo też do Anglii.

Smutny los królowych piękności

Sława „królowych piękności" jest zazwyczaj niezwykle krótkotrwała. Jeżeli dziewczęta, które zdobyły ten tytuł, nie potrafią równocześnie zdobyć jakiegoś stałego engagement czy zajęcia, los ich jest przeważnie bardzo smutny.

Po raz pierwszy tytuł królowej piękności otrzymała Agnes Souret w r. 1921. Zaangażowano ją natychmiast do filmu. Okazało się jednak, że piękna Agnieszka jest tylko piękna... i nic więcej. Filmy były słabe. Agnes Souret wyjechała do Ameryki Południowej, gdzie po kilkunastu mało udanych występach w rewiach zmarła ze zgryzoty.

Mniej tragicznie, ale też smutnie zakończyła się kariera drugiej z kolei „Miss France" pięknej Korsykanki, Pauliny Pö. Po kilku kiepskich filmach wycofała się zupełnie z życia artystycznego; jest dzisiaj skromną maszynistką, czy ekspedientką w rodzinnym Ajaccio.

Ostatnie francuskie królowe piękności, Raymonde Allain i Gisele Preville, utrzymują się z trudem na stanowisku we francuskim teatrze i filmie. Same przyznają, że działoby się im znacznie lepiej, gdyby nie miały tytułu królowych.

Czy wiecie, że...

Człowiek do tego stopnia opanował przyrodę, że według obliczeń jest dziś najliczniejszym ssakiem na ziemi. Niektóre gatunki flory i fauny stopniowo zupełnie zanikają i przyjdzie czas, kiedy będą okazami na specjalnych fermach i w ogrodach zoologicznych.

—o—

Nowym cudem techniki lotniczej jest yacht napowietrzny księcia Walii. Kabina tego aeroplanu mieści wygodnie 8 osób. Na yachcie mieści się bar, radio, salka dancingowa. Aeroplan ten może robić 210 km na godzinę.

—o—

Tak zw. „Urba avinioneuris" jest miastem kabalistycznej siódemki. Posiada siedem bram miejskich, siedem bazylik, siedem klasztorów, siedem wież w zamku papieskim, siedem ganków w dziedzińcu zamkowym, a przy schodach siedmiu aniołów, z których każdy ma u ramion po siedem skrzydeł.

—o—

Do najcenniejszych arcydzieł gotyku należy grobowiec Jana 12, pełen misternych koronek i festynów, rzeźbionych w srebrzystym marmurze. Wartość tego grobowca, jako dzieła sztuki, jest bezcenna.

—o—

Woda jest pożywna. Dowodem, że człowiek o samej wodzie może przeżyć 20 dni, koń 25, kot 20, pies 30 dni, a żółw bez pokarmu i bez wody dopiero po 2—3 latach umiera.

Do instytutu medycznego w Baltimore w Stanach Zjednoczonych uczęszcza pewien młody Chińczyk. nazwiskiem I. Jest to niewątpliwie najkrótsze nazwisko na świecie.

—o—

Do miasta Hadina w Ameryce nadszedł list, wysłany 20 maja 1874 roku z fortu Zellburg w Baltimore. Stwierdzono, że list przeleżał przez pomyłkę w szafie archiwalnej wojskowej; obecnie został on doręczony siostrze wysyłającego, 84-letniej staruszce. Kopertę ze stemplami pocztowymi kupił za duże pieniądze pewien filatelista.

—o—

Herbata, znana na Dalekim Wschodzie od bardzo dawnych czasów, dociera po raz pierwszy do Europy w r. 1610. Przywożą ją okręty Holenderskiego Towarzystwa Wschodnich Indyj. Francja poznaje herbatę w r. 1636, Rosja — w 1638, a Anglia — w 1650 r. Pierwszą wzmiankę o herbacie w Polsce podaje Jędrzej Kitowicz, pisząc, że sprowadzono ją na dwór króla Jana III w r. 1680.

—o—

Pijawka może głodować cały rok. Przedtem jednak wypić musi krew równą jej wadze w 5-krotnej ilości. Krew przetrawia 6 miesięcy, po czym uzyskuje takie zapasy tłuszczu, że może, jak wspomnieliśmy, rok głodować.

—o—

Ryby mogą z głodu utracić nawet do trzech czwartych ciała, a będą żyły i normalnie pływały.

—o—

Świat i życie

Olbrzymie skarby na dnie morza

W łonie oceanów kryją się niezmierne skarby, które człowiek z biegiem tysiącleci złożył w ofierze zachłannemu temu żywiołowi. Od dawien dawna też człowiek usiłuje wydrzeć mu niedobrowolne te ofiary. Usiłowania w miarę postępującej techniki coraz bardziej uwieńczane bywają pomyślnym skutkiem.

W roku 1935 nurkowie niewątpliwie odnaleźli kadłub zatopionej w maju 1915 r. „Lusitanii", która wiozła z Ameryki do Anglii złoto wartości wielu milionów funtów. Na wiosnę rozpoczną się dalsze prace około zbadania kadłuba i wydobycia zeń skarbów.

W licznych innych wypadkach statki, wiozące na swych pokładach olbrzymie skarby, zaginęły bez śladu. I tak w latach dziewięćdziesiątych zatonął nowy pancernik hiszpański „Reina Regenia", nie pozostawiając po sobie najmniejszego śladu. W roku 1895 znikł w sposób tajemniczy angielski parowiec pocztowy „Liverpool" z 480 pasażerami i odpowiednią załogą w roku 1904 statek angielski „Lady Hamilton" z całą załogą, w grudniu 1904 roku parowiec „Marrow" z 340 ludźmi, w grudniu 1928 zaginął parowiec „Asiatic Prince" z 130 ludźmi. We wszystkich tych wypadkach przyczyną katastrof stały się niewątpliwie żywiołowe wydarzenia. eksplozje kotłów lub amunicji, trzęsienia podmorskie, trąby morskie, uderzenia o świeżo powstałe rafy i skały.

W licznych innych wypadkach człowiek ma przynajmniej możność podjęcia walki z zachłannym żywiołem i wydarcia mu jego łupu. Tak było ze statkiem amerykańskim „Merida", który w roku 1911 osiadł na dnie morza w głębokości 150 stóp. Tutaj udało się wydobyć z kadłuba złota i srebra wartości przeszło 4 miliony dolarów. Jeszcze bardziej znane są prace przy wydobywaniu skarbu z kadłuba parowca „Egipt", który w maju 1922 roku zatonął niedaleko wybrzeża francuskiego w okolicy Brest. Mimo, że kadłub statku znajduje się na głębokości 400 stóp, udało się dwom specjalnie do tego zadania zbudowanym statkom włoskim przy pomocy osobnych komór nurkowych i przy współudziale nurków w stalowych skafandrach wydobyć z tresorów statku w ciągu 2 lat przeszło 40 milionów szterlingów w złocie.

W dniu 8 czerwca 1916 r. zatonął w pobliżu wysp Orkney krążownik angielski „New Hampshire", który wiózł do Rosji lorda Kitchenera i 100 milionów funtów szterlingów w złocie. Po wojnie pewne prywatne towarzystwo przeprowadziło poszukiwania za zatopionym statkiem i wydobyło zeń milion szterlingów, lecz dalszych prób zaniechano.

Do najskuteczniejszych prób w tym kierunku należą poszukiwania na zatopionym statku angielskim „Lauremic", z którego wydobyto w ciągu 8 lat sztab złotych wartości przeszło 240 milionów szterlingów. Ponieważ koszty wynosiły tylko 5 milionów, zarobek towarzystwa był olbrzymi, a każdy nurek stał się milionerem.

Wielkim sukcesem poszczycić się może także Francuz Lemberts, który w ciągu kilku dni potrafił wydobyć ze statku „Alfons 12", który zatonął na wodach indochińskich, sumę 2 milionów franków w złocie. Później wzbraniał się już nurkować ze strachu przed jakimś grozą przejmującym widokiem. Jego następca śmiał się z tego, zanurzył się pod wodę i wrócił niebawem z tej wyprawy prawie szalony.

Podobne historie opowiada się o statku hiszpańskim „San Ferdynando", który zatonął w r. 1307 z ogromnymi skarbami w pobliżu wysp zachodnio-indyjskich. W roku 1860 odszukano kadłub statku i usiłowano dotrzeć do mieszczących się w nim skarbów przy pomocy wypróbowanych nurków japońskich. Lecz tym przedstawił się okropny widok. Swego czasu przykuwano Indian wiosłujących, za pomocą łańcuchów, do ławek wioślarskich. Szkielety ich znajdowały się jeszcze na ławach i kołysały się lekko z falą. Żadne najbardziej łudzące obietnice nie zdołały nakłonić nurków do powrotu na zatopiony statek. Przy próbach wydobycia statku na powierzchnię wody za pomocą dźwigów, statek zesunął się ze skał na głębokość 200 metrów, gdzie dla prac nurkowych jest zupełnie niedostępny.

Jedną z najgłówniejszych przeszkód przy wydobywaniu skarbów z zatopionych statków są prądy morskie. Dzięki tym prądom nie udało się ocalić załogi amerykańskiej łodzi podwodnej, która trzy lata temu zatonęła tuż nad wybrzeżem, ponieważ prądy morskie za każdym razem zrywały łańcuchy.

Podobne trudności nastręcza docieranie do fregaty hiszpańskiej „San Francisco", która swego czasu zatonęła przy wyspie angielskiej Mulli z olbrzymim zapasem złota, którego wartość podają na pół miliarda funtów szterlingów. W roku 1860 udało się odkopać spod wielu metrów grubej warstwy mułu kadłub statku, lecz nawałnica podmorska w ciągu kilku dni naniosła tyle piasku, że wszelkie dalsze prace zostały udaremnione.

Ten sam los spotkał statek angielski „Lutine", który w roku 1799 zatonął w pobliżu wyspy holenderskiej Terszeling ze złotem do Hamburga. Kadłub statku jest pokryty warstwą sypkiego piasku grubości przeszło 30 stóp. Próby przedostania się przez piasek za pomocą specjalnych olbrzymich pomp spełzły na niczym, ponieważ prądy podmorskie wciąż nowe nanosiły masy piasku.

Tak więc na dnie morza czekają wyzwolenia olbrzymie skarby, które wystarczyłyby na pokrycie wszystkich długów państwowych.

CZAS

Przez cały tydzień gonitwa — od sklepu do sklepu, od walizki do walizki, od jednej rzeczy do drugiej, cały tydzień gorączka — żeby zdążyć, zeby wszystko na czas. Nie ma czasu na żadne dłuższe rozmowy, na cieplejsze słowa. Jest tylko jedną myśl — wyjazd! — Samotna wśród pakowanych rzeczy, z głową przepełnioną myślami, z wieczną tęsknotą w sercu, z dręczącymi wciąż pytaniami, chodzę, układam, pakuję.

Skończona na czas praca. Siadam zmęczona i daję folgę myślom.

Wypełzają zewsząd, straszą.

Napływają łzy. Czy ty wiesz kochany, jak męczę się teraz, czy wiesz ty jedyny jak bardzo czekam na Ciebie, jak z trwogą patrzę na przesuwające się minuty, kwadranse, godziny, jak tęsknię wciąż nieustannie? Czemu nie przychodzisz? Nie ma Cię! Powiedziałeś, że wrócisz zaraz po pracy, a godziny mijają wciąż, a Ciebie nie ma.

Patrzę przez okno, nadsłuchuję kroków: ktoś idzie! Może to Ty? Zrywam się patrzę, czekam, serce bije jak młot.

Żebyż to Ty, żeby już, żeby przestać być samą! Kroki coraz głośniejsze — zbliżają się... czy tu się zatrzymają? Nie, niestety, przeszły, — to ktoś obcy. Mam żal do niego, że on szedł, że mnie łudził, mam żal, że on wrócił — Ty nie!

Oczy wilgotne, serce tłucze się jak ptak w klatce, głowa boli — och, jak boli — nawet już czytać nie można! Nie widzę nic i tylko czujna, z wyostrzonym słuchem — czekam. Pochylam głowę na parapet okna.

Tak dobrze oprzeć ją o zimny marmur i modlić się do Ciebie i błagać z najgłębszych głębin mej istoty o twoje przyjście. I biegną do Ciebie myśli me i proszą Cię: znajdź w tej ciągłej trosce o jutro choć jedną chwileczkę dla mnie dziś! Pomyśl, że czekam tak bardzo, bardzo już długo na chwilę tą, kiedy Cię ujrzałam znów, kiedy mnie otoczyły Twoje ramiona, a usta powiedziały moim ustom o szczęściu tej chwili spotkania, że marzyłam o tych dniach z Tobą. I że teraz jestem tak blisko, a jednak chyba jeszcze dalej jak przedtem, bo wiem, bo wiem że w Twoich myślach nie ma teraz miejsca dla mnie, że Cię pochłonęła gorączka podróży, że tylko, gdy jesteś, ze mną, to widzisz mnie, że całujesz mnie jakby w roztargnieniu i pospiechu, jakbyś się bał utracić i ten ułamek sekundy. —

Nie mam do Ciebie żalu, wiem, rozumiem to, ale widzisz tak mi jest ciężko, tak bardzo samotnie! Wiem, że dajesz mi nawet więcej serca i swej myśli, niż na to pozwala pędzący czas. Ale cóż zrobić sercu, skoro ono jest tak bardzo stęsknione, skoro samo jest tak pełne miłości i chciałoby Ci ją wszystką dać, a nie może, bo nie ma czasu.

Ja wiem, że kochasz mnie, wierzę w to, jak w najpewniejszy pewnik świata i jestem na siebie zła o to, że nie umiem być cierpliwa, że Cię męczę pytaniami bez związku i celu, że zwiększam Twoją gorączkę i obawę przed uciekającym czasem.

Chciałabym być dla Ciebie samym szczęściem — cóż robić mam, tak mi ciężko — bo przecież wiem, że nim nie jestem, że tak mi do tego daleko. I męczę się tą moją bezradnością i nie mogę znaleźć wyjścia, nie mogę znaleźć spokoju.

A teraz znowu kroki, podnoszę głowę, cała zamieniam się w słuch i wzrok, gotowa jednym skokiem znaleźć się u drzwi, by Ci otworzyć, gotowa do największych ofiar dla Ciebie — czekam... i opadam znów na fotel zawiedziona.

Dlaczego ja nie wyczuję Ciebie z dala? Dlaczego nie umiem poznać Twoich kroków? — Wstaję teraz znów, przygotuję jeszcze wszystko na twoje przyjście — sprawdzę tylko, bo przecież już wszystko gotowe, poprawię jeszcze, bo musi być ładnie dokoła Ciebie, bo musisz czuć, że ktoś o Tobie myślał tu, że czekał.

Zrobione wszystko. Chodzę po pokoju — od ściany do ściany, od okna do drzwi, nie wiem, czy Ci nie wyjść naprzeciw — czekam, i znów nadsłuchuję, kroków i znów nadaremnie. Ściemnia się. Słońce już dawno ukryło swą roześmianą twarz, niebo poprzez czerwień, różowość i białość obłoków przechodzi w końcu w łagodny seledyn, a potem błękit, który staje się coraz to głębszy, oddala się od nas, mrok je nam zasłania — a Ciebie jeszcze nie ma!

Ale teraz znowu kroki — szybkie nerwowe, takie jedyne na świecie, Twoje kroki — jak mogłam się przedtem łudzić? — Ułamek sekundy, te jedyne kroki zatrzymują się — stajesz u furtki, szybko otwierasz ją, a ja już jestem przy Tobie, już jestem w Twoich ramionach — choć znów na sekundę, ale jestem i teraz będę z Tobą jakąś dłuższą chwilę. Możemy do siebie nie mówić — to nic — jesteś — to wystarczy.

Podaję Ci obiad, mówię co robiłam przez ten dzień, pytam czemu tak późno — ale właściwie po co — najważniejsze, że choć późno, ale jesteś znów przy mnie. — Tak było przez cały tydzień! Porządkowałam i pakowałam Twoje rzeczy, włożyłam w te czynności całą moją miłość, całą tęsknotę, zaklęłam w nie moje pragnienie szczęścia dla Ciebie, zdawało mi się, one Ci będą mnie przypominały, że oddadzą Ci to, co dostały, że będą tylko na pewien czas kondensatorami myśli, uczuć, które Ty rozbroisz. Byłam szczęśliwa, że mogłam coś zrobić dla Ciebie. Była szczęściem ta praca w samotności dla Ciebie!

Ostatniego tylko dnia, kiedy wracając zobaczyłeś mnie oczekującą na Ciebie w oknie, tak czule, tak jakoś z głębi duszy wymówiłeś moje imię. Było w tym jednym słówku wszystko: cała twoja miłość, cała wdzięczność, że jestem przy tobie, że tak zawsze czekam, cały żal, że to już dziś koniec. — Zapadło to słówko głęboko, stało się szczęściem — pociechą w chwilach czekania — kiedy żegnany przez wszystkich, wesoły, dowcipny, w gwarze i hałasie stacji — odjechałeś — ty mój jedyny na długie sześć miesięcy. Jedno ostatnie spojrzenie, jeden ostry ból, gdy koła zazgrzytały po szynach, ukryta łza, gdy zniknąłeś.

Niedługo potem odjechałam i ja zabierając ze sobą wspomnienie tych dni i tego jednego słowa. Karmiłeś mnie przez cały czas kartkami i listami — mówiłeś w nich zawsze o swej miłości i pamięci. I wierzę Ci i jestem szczęśliwa.

I mija czas wciąż — pędzi jak szalony — a ja mu jestem tak wdzięczna, bo przecież coraz bliżej jest chwila, kiedy powrócisz, coraz bliżej chwila, kiedy znów i już na zawsze będziemy razem.

Dobry, kochany, Czas! Leć Czasie, szybko mijaj godziny, dnie i miesiące, zamieniaj ciepłe lato w słotną jesień i mroźną zimę, ale leć wciąż i daj, by była znowu wiosna i znowu lato, dla nas obojga, lato radosne, promienne i dobre, nie smutne, jak wtedy, gdy czekałam tak długo przy oknie. Wtedy nie byłeś dobry. Czasie, pędziłeś wciąż i kazałeś o sobie myśleć i spychałeś Miłość w kąt, ale i tak ona się wydobyła i biegnie teraz zgodnie wraz z Tobą. Czasie, byle prędzej do chwili szczęścia, do chwili, gdy na chwilę zapomnimy o tobie, Czasie!

Nad brzegiem jego rosły w wielkiej ilości dziwne rośliny meksykańskie z rodziny kaktusów, o dużych, bardzo kolczastych liściach.

Pomiędzy tymi krzakami siedziały tu i ówdzie duże ptaki, o pstrym upierzeniu.

To ptak zwany choyaro, przypomniał sobie hrabia Eryk — to muszą tu być niedaleko gdzieś także zielone żmije.

Przypatrywał się im z zaciekawieniem i zobaczył, jak jeden z nich zręcznie zerwał liść kaktusowy i okrył się nim jakby pancerzem.

Nagle zaszeleściło coś w krzakach i duża zielona żmija wyskoczyła z nich. Na nią to choyero rzucił się z dzikim wrzaskiem. Rozpoczęła się zażarta walka. Żmija na próżno usiłowała otoczyć skrętem swego cielska małego nieprzyjaciela i udusić go. Raniła się bowiem tak okropnie na kolcach liścia kaktusowego, że musiała zamiaru tego zaniechać.

Choyero z triumfem stanął na plecach wroga i dziobem ranił go tak nielitościwie, że żmija wiła się w agonii, wreszcie zginęła pod ciosami.

Ptak wydał zwycięzki okrzyk i odleciał.

Eryk z wielkim zajęciem przypatrywał się tej walce i patrzył teraz na pokrwawione cielsko żmiji, z którego wylazły trzewia. Ze zdziwieniem zauważył Eryk w otwartej i zakrwawionej kiszce gadu, okrągłą, żółtawo błyszczącą kulkę. Patykiem wysunął ją z kiszek i oczyścił. Było to złoto, które żmija prawdopodobnie połknęła.

Teraz przypomniał sobie Eryk, że zielona żmija znana jest z tego, że połyka kawałki złota. To też poszukiwacze złota, często według miejsca pobytu zielonej żmiji, kierowali swe poszukiwania we wnętrzu ziemi.

Eryk był godny i sądził, że może w wodzie odkryje raki, lub jadalne ślimaki. Gdy jednak nic podobnego nie znalazł, zastrzelił ptaka i smażył go jak wczoraj nad ogniem.

Zjadł prawie całego i jakkolwiek głód w części zaspokoił, to jednak musiał sobie powiedzieć, że w sztuce kulinarnej od wczoraj nie zrobił postępu.

Wciąż miał nadzieję, że będąc w krainie złota, natknie się lada chwila na ludzi. Nazajutrz jechał przez okolice, w których widoczne były ślady dawniejszych poszukiwań za złotem w ziemi, znalazł nawet motykę, ale ludzi, za którymi tęsknił nie było.

Około południa zatrzymał się dla wypoczynku, obok grupy drzew.

W gęstwinie zobaczył drzewo owocowe i piękne owoce zwabiły go do siebie.

Odchyliwszy jednak gałęzie, przeraził się widokiem, który go uderzył.

Na małej polanie za drzewami leżało ciało ludzkie, już się rozkładające, a otoczone splotami zielonej żmii, która także już gniła. Musiała się tu rozegrać straszliwa walka, której ofiarą padli obaj przeciwnicy.

Eryk Rauch zdrętwiał.

Na pierwszej twarzy ludzkiej, którą zobaczył po kilku dniach, śmierć wyryła swe groźne a obrzydliwe piętno.

Wzruszony i przejęty widokiem znikomości ludzkiej, patrzył na to i usiłował rozwiązać zagadkę tej walki.

Widocznym było, że człowiek z bronią w ręku przeciwstawił się gadowi. Ale co go do tego skłoniło? Czy tylko bronił się przed napastnikiem? Czy może sam żmiję zaczepił w nadziei, że znajdzie w jej trzewiach złoto?

W istocie zauważył prędko, że połknęła stosunkowo ogromną bryłę złota.

Lecz on kopnął i odrzucił to, na widok czego, stu innych byłoby wydało okrzyk radości i szczęścia.

Tęsknię za ludźmi — pomyślał — a spotykam trupa. Zamiast chleba, żeby się pożywić, znajduję złoto. Na co mi złoto, gdy jestem głodny?



Różni różnie obchodzili gwiazdkę, a Polacy w Kalifornii zebrali się przy tradycyjnym drzewku w kostiumach kąpielowych.

ROZDZIAŁ CCLIV.

Do Ameryki

W małej izdebce na poddaszu, w mieszkaniu pani Herbert, rozgrywała się wzruszająca scena.

W ramionach pani Herbert płakała bodzielna dziewczyna i żegnała się z tą kobietą, która, choć nie dała jej życia, lecz niemniej macierzyńską okazywała jej miłość.

Lecz z ojcem nie mogła się pożegnać. Inspektor więzienny, człowiek bez serca, nie dał się przebłagać i mimo wzruszającej prośby Sylwii, nie cofnął zakazu odwiedzenia więźnia.

Musiała tedy Sylwia jechać w tak daleką drogę, nie otrzymawszy błogosławieństwa ojca.

Tym czulej za to żegnała ją teraz matka.

Sylwia również z przyjaciółką Idą pożegnała się bardzo serdecznie i poleciła jej opiekę nad starą matką. Na dworzec odprowadziła ją pani Kudlich z całą swoją rodziną, której każdy członek od najstarszego do najmłodszego, uważał za swój obowiązek zaopatrzyć ją w coś na drogę.

A więc pan Kudlich, położył jej na siedzeniu koc do podróży, pani Kudlich wsunęła dla niej pod ławkę duży kosz z prowiantami, nawet studencik Kudlich, który cały swój majątek wydawał na pomadę do wąsów, szarpnął się teraz i kupił jej perfumy na drogę, mimo, że właściwie cały afekt jego młodzieńczego serca, zwrócony był ku Idzie.

Sylwia wzruszona była tym dowodem życzliwości od osób obcych, ale bardziej jeszcze rozrzewniało ją samo pożegnanie.

Nie zdradzała się jednak z tym, nie chcąc odbierać odwagi i otuchy strapionej matce.

Dopiero gdy pociąg ruszył i widziała, że sama jest w przedziale, przestała panować nad sobą i zapłakała rzewnymi łzami, nie wiedząc, czy w ogóle wróci z tak dalekiej podróży, a wróciwszy, czy uwolni ojca i narzeczonego?

— — — — — — —

Tego samego dnia wieczorem, Ilona przyjechała do Petershagen.

Była pewna, że Sylwię zastanie jeszcze w mieście lub w okolicy, nie przypuszczała bowiem, żeby się ona w tak daleką podróż wybrała tak prędko.

Nie trudno jej było w tak małym miasteczku, jak Petershagen dowiedzieć się, że Sylwia już wyjechała; w piekarni, gdzie kupowała sobie bułki, podsłuchała rozmowę o tym.

Chcąc jednak wiedzieć, czy Sylwia zatrzymała się po drodze i którędy odbywała drogę morską, musiałaby była pójść do Herbertowej. Nie miała jednak na tyle bezczelności, żeby się pokazywać na oczy tej kobiecie, którą swoimi skrytobójczymi planami, za pomocą trucizny przez pomyłkę, omal, że nie wyprawiła na tamten świat, którą pozbawiła majątku, domu, męża i szczęścia.



Karnawał — szaleństwo muzyki, wina, serpentyn i tańca!...

Wolała dowiedzieć się o wszystkim, czego potrzebowała pośrednio przez Kudlichów.

Panna Emerenz siedziała za ladą i czekała na ojca, który miał przyjść, żeby zamknąć sklep. Cyganka weszła i zagaiła zręcznie rozmowę z niedoświadczoną panienką i wyciągnęła u niej wszystko, co chciała wiedzieć. Że mianowicie Sylwia pojechała drogą na Hamburg i że tam zatrzyma się w hotelu pod „Złotą gęsią". Gdy wreszcie ciekawość i to uporczywe wypytywanie się o szczegóły zwróciły uwagę panny Emerenz, tłumaczyła się Ilona, że ma do Sylwii zlecenie od jednego pana, któremu się bardzo podobała i że chce do niej pisać.

Emerenz była trochę zaniepokojona, przeczuwając może, że swoją gadatliwością i łatwowiernością narobiła nieszczęścia i postanowiła nie przyznać się matce do niczego.

Wnet jednak zapomniała o Cygance zupełnie.

Ilona tymczasem zadowolona z siebie, układała sobie plan dalszej jazdy.

Noc była chłodna i Ilona postanowiła sobie kupić chustkę, a znając dobrze miasteczko, nie przejmowała się tym, że sklepy były już zamknięte.

Bez trudu znalazła przy jednym ze sklepów bławatnych, tylne wejście do mieszkania kupca i tam usłyszała rozmowę, która dla niej miała wielkie znaczenie.

— On jest zamordowany — odpowiadała służąca kupcowej, pani Lichtblau, właśnie gdy Ilona otwierała drzwi.

— Kto jest zamordowany? — spytała Cyganka nagle, a obie kobiety w mieszkaniu podskoczyły i zbladły z przestrachu.

Pierwsza ochłonęła służąca i rzuciła się łająć Cygankę.

— Co to jest za sposób przestraszać ludzi w nocy? — zawołała.

— A co temu winna, że wy się zaraz czego bądź boicie — śmiała się Cyganka — ja chciałam sobie kupić chustkę, ale jak mnie tak przyjmujecie, to znajdę drogę do innego kupca.

I udawała, że zwraca się do odejścia.

Teraz pani Lichtblau, której żal się zrobiło zarobku, ochłonęła także ze strachu i zaraz kazała na nowo zapalić lampę w sklepie, w którym już było ciemno.

— Kto zamordowany? — spytała znowu Ilona

— Ignacy — odpowiedziała pani Lichtblau — miał jakieś duże pieniądze i chwalił się nimi i to mu sprowadziło nieszczęście. Ale mordercę już złapali. Siedzi już za kratami.

Ilonie serce zabiło w piersi jak młotem.

Z jednej strony ukrywała radość z zamordowania Ignacego, bo nigdy nie mogła być pewna, czy on w jakiej chwili szczęśliwej, nie odzyska świadomości i nie zdradzi jej, uwalniając hrabiego Wernera.

Z drugiej strony obawiała się, że jako mordercę Ignacego, aresztowano Alojzego. W takim razie musiałby zaniechać ścigania Sylwii w podróży do Ameryki, gdyż musiała by wracać do Felseg i tam zająć się Wernerem, który w razie uwięzienia Alojzego mógł by zginąć z głodu.

— Kto go zamordował? — zapytała więc, usilując ukryć, co się w niej dzieje.

— Henryk i Tryna — opowiadała pani Lichtblau. — Złakomili się na jego złoto, ale im to bokiem wylezie.

Kiedy Ilona wybrała sobie ciemną chustkę i płaciła za nią banknotem, pani Lichtblau pokiwała głową.

wam na wsi dobrze się dzieje. Pieniędzy wam na wsi dobrze się dzieje. Pieniędzy macie jak lodu. Ot i dziś rano był tu u mnie Ksawer.

Ubrany był jak żebrak, ale co on miał w kieszeni, to ja bym sobie życzyła mieć zawsze.

Ilonie zaiskrzyły się oczy na wspomnienie Ksawera.

— Ani dwu groszy bym za to nie dała, czy nie jest on także winien śmierci Ignacego — rzekła z nienawiścią w głosie.

— Ej, nie — zaprzeczyła pani Lichtblau — to porządny człowiek. On zawsze płacił gotówką.

— — — — — —

Kupiwszy chustkę i wyszedłszy w niej na dworzec kolejowy w Petershagen przekonała się Ilona, że ma jeszcze bardzo wiele czasu do odejścia pociągu.

Niecierpliwiła się bardzo, ale na nic się ta jej złość nie zdała. Gdy wreszcie pociąg zajechał przed stację wsiadła Ilona do wagonu i wcisnąwszy się w róg przedziału, usiłowała zasnąć.

Ale sen nie sklejał zmęczonych jej powiek. Gdy wreszcie ze zmęczenia popadła w drzemkę, trapiły ją we śnie niemiłe widziadła. Wszystkie ofiary jej przewrotności sznurem przebiegały przed jej oczyma i wpatrywały się w nią wzrokiem pełnym wyrzutu.

Do Wiednia przybyła około południa i dowiedziała się, że do najbliższego pociągu do Hamburga ma zaledwie trzy godziny czasu.

Siadła więc na dorożkę i przyrzekła dorożkarzowi podwójne wynagrodzenie, jeżeli ją szybko zawiezie pod wskazanym adresem.

Przybywszy do miejsca, do którego zdążała, to jest do mieszkania pani Schnorr, zastała drzwi zamknięte.

Pukała do drzwi, ale nikt się nie odzywał.

— Musiała się baba upić i pewnie teraz śpi — złościła się Ilona.

Potrząsała drzwiami tak gwałtownie i tyle przy tym narobiła hałasu, że sąsiedzi pani Schnorr pozlatywali spytać się, co to takiego.

— Gdzie jest pani Schnorr? — zapytała Ilona.

— Poszła sobie po piwo — objaśniła sąsiadka.

— Gdzie ona chodzi po piwo?

— Pewnie tam, gdzie jest najlepsze — odpowiedziano Cygance, która wnet ujrzała się znowu sama w sieni domu.

Siadła na schodach i klnąc w duchu, czekała, aż wreszcie usłyszała ciężki krok pani Schnorr.

— Spiesz się — babo przeklęta — zawołała do niej.

Pani Schnorr zdziwiła się, zobaczywszy, że Ilona już wróciła.

— Co się stało? — spytała.

— Pakuj się, o trzeciej jedziemy.

— O trzeciej? — przeraziła się pani Schnorr — a ja nie mam paszportu!

Rozpoczęła się kłótnia. Ilona wyrzucała pani Schnorr, że się nie postarała o paszport, ta zaś Cygance robiła wyrzuty, że nie zatelegrafowała.

Stanęło na tym, że Schnorrowa przebrała się w żałobny strój i miała się udać do konsulatu po paszport. Ilona zaś miała spakować jej rzeczy, kupić dwa bilety i czekać na nią na dworcu. Schnorrowa miała w konsulacie udać, że mąż jej umarł niedawno, a ona jedzie do syna do Ameryki.

Chytra baba widziała jednak pośpiech Ilony i pragnęła go wykorzystać.

— Nie mogę tak zostawić mieszkania — rzekła — bo tak prędko nie wrócę, a tu mi gospodarz gotów zafantować moje rze-

czy. Daj mi 120 reńskich. Muszę mu za kwartał zapłacić, a nie mam pieniędzy.

— A gdzieś podziała tych 1.200 reńskich, com ci dała niedawno? — złościła się Ilona.

— Te mam w kasie oszczędności — tłumaczyła się Schnorrowa — teraz nie mam czasu wyjąć.

Po załatwieniu sprawy z gospodarzem domu i w konsulacie zdążyła Schnorra jeszcze kilka minut przed trzecią na dworzec, gdzie czekała już na nią Ilona z olbrzymim kufrem z jej rzeczami i dwoma biletami do Hamburga.

Po drodze Schnorrowa narzekała, że musiała wyjechać bez obiadu i pociągała od czasu do czasu z flaszki koniak, w który nie zapomniała zaopatrzyć się na drogę. Ilona zaś nie posiadała się z radości.

Przybywszy do Hamburga zajechała z towarzyszką do hotelu pod „Złotą gęsią". Błysk triumfu zaświecił w jej oczach, kiedy wpisując do księgi handlowej „pani Schnorr z Wiednia ze służącą", zobaczyła w niej wypisane: panna Sylwia Herbert z Petershagen.

ROZDZIAŁ CCLV.

Niezasłużone szczęście

W Batany-Bay w kolonii karnej przestępców nie więziono w zamkniętych celach, czy dziedzińcach więziennych, lecz wskazywano im domy mieszkalne i pozostawiano ich na wolnej stopie, o tyle tylko ich krępując, że o ucieczce nie mogło być mowy.

Zresztą mogli robić, co im się żywnie podobało, byle nie zakłócali porządku publicznego.

Musieli oni zresztą ciężko pracować, chcąc sobie zarobić na chleb powszedni. Byli nawet tacy, którzy przez cały czas osiedlenia w koloni karnej pracowali uczciwie i nazbierali sobie majątek jaki taki i później w osadzie zajmowali stanowisko wcale poważne.

Ale do tego trzeba było uczciwej, a żmudnej i długotrwałej pracy.

Znajomi nasi — Tulliwer i Waker — tak ich będziemy nadal nazywać, ze względu na to, że oni sami tak lubili te nazwiska, choć im się nie należały — zmuszeni przebywać w Botany-Bay nie mieli — jak wiemy — wybitnych skłonności ani do uczciwości, ani do pracowitości.

To też suszyli sobie głowy, w jaki by sposób wydostać się z tego piekła, w którym musieli naturze swej zadawać taki gwałt i naginać się do rzetelności, której nigdy w życiu nie mogli strawić.

Wszystkie plany ucieczki rozbijały się o brak pieniędzy.

Toteż zacni towarzysze siedzieli wieczorem ze zwieszonymi głowami i przypatrywali się sobie z widoczną rozpaczą.

Nagle jednak jeden z nich ożywił się.

— Wiesz — rzekł do towarzysza — mam cudowną myśl.

Towarzysz okazywał jednak niewiele zaufania do cudowności pomysłów przyjaciela.

Toteż obaj nocami całymi, gdy się już upewnili, że warta nie zaglądnie do nich, szukali po całym domu, w ścianach, pod podłogą, w suficie, za futrynami okien i wszędzie, gdzie tylko można było przypuścić, że może być jakaś skrytka.



Emocjonująca gra w rzucanie kul do celu, uprawiana z zamiłowaniem przez starsze Angielki

Aż pewnego razu znaleźli pod płytami kamiennymi, na których była kuchnia, zakopany w ziemi żelazny duży garnek pełen złotych pieniędzy.

Lecz ten nie zrażał się tym wcale i mówił dalej:

Chałupkę tę zamieszkiwał przed nami skazaniec Bob Eriphius, człowiek znany z przysłowiowego skąpstwa. Majątek jego obliczano na grube tysiące. Tymczasem po jego śmierci znaleziono zaledwie marnych kilka guldenów na pogrzeb. Tu musi być schowany jego cały majątek!

— Nie przejmuj się — wątpił Tulliwer — już to władza musiała dobrze przetrząść całą chałupę po jego śmierci.

— A ja ci powiadam — zapewniał Waker — że my bardzo łatwo możemy tu znaleźć grube pieniądze.

Nadzieja była cudowna.

Radość ich była nie do opisania.

Ale pieniądz nie dawał im jeszcze możności ucieczki.

Dostać się na jeden z okrętów, które czekały na brzegu, i odpłynąć do Ameryki, a skryć się na okręcie, aż do chwili, kiedy ten wyruszy i będzie na pełnym morzu, wydawało się niemożliwym.

Za najmniejszą poszlaką zniknięcia któregokolwiek ze zbrodniarzy, dawano z brzegów strzały armatnie, a okręty, które jeszcze nie wyruszyły, przeszukiwano bardzo starannie.

Ale i tu przypadek przyszedł im z pomocą.

Właściciel jednego z okrętów, pragnąc przyśpieszyć odjazd, prosił dyrektora policji, żeby mu pozwolił nająć osiedleńców karnych do roboty przy załadowaniu okrętu.

Było to rzeczą zwyczajną i dyrektor zgodził się na to.

Tulliwer i Waker, zresztą nie bardzo chętni do tego rodzaju robót, w tym wypadku okazali wielką chęć do pracy i dzień chodzili na okręt i w pocie czoła dźwigali ciężkie wory i beczki z łodzi do magazynów okrętowych.

Przy tej sposobności poznali się z majtkiem Andrzejem, który kochał się w córce jednego bogacza nie bez wzajemności; nie mógł się jednak połączyć ze swoją ukochaną, bo ojciec jej nie chciał jej wydać za biedaka.

Okoliczność tę wyzyskali Tulliwer i Waker dla swoich planów.

Zabrali go raz do siebie i dowiedziawszy się, że w dzień odjazdu ma odbywać nocną straż na pomoście okrętu, wymogli na nim, gdy sobie podchmielił, przyrzeczenie, że pozwoli im wejść niespostrzeżenie na okręt i skryć się w magazynie okrętowym.

Wzamian za to, przyrzekli mu trzecią część swego majątku.

Gdy mu pokazali duży garnek pełen złota, majtek wzdrygnął się w obawie, że oni prawdopodobnie kogoś ograbili.

Lecz łatwo uspokoili go, opowiedziawszy jakim sposobem doszli do takiego majątku. Przytem chcieli mu powierzyć cały ten skarb, aż do chwili, kiedy na pełnym morzu, gdy już powrót będzie niemożliwy, wyjdą z swej kryjówki.

Andrzej jednak miał wątpliwości co do tego, czy zdoła nieznacznie i niespostrzeżenie taki duży garnek zanieść na okręt i tam go dobrze schować.

Ale i na to przebiegli łotrzykowie znaleźli odpowiedź i radę.

— Zdarza się często — przekonywał majtka Waker, że majtkowie zakupują tutaj towary, aby je potem za morzem sprzedać z zyskiem.

Andrzej potakiwał, gdyż tak było w istocie.

Otóż oni mieli już przygotowaną u siebie beczkę łoju i pokazali zdumionemu marynarzowi, jak to się umieją urządzić.



Król belgijski Leopold na wywczasach zimowych

Odbiwszy górne wieko beczki wykroili ze środka duże kawały łoju, w którym powstał przez to głęboki dół.

Do tego dołu nasypali teraz całą zawartość złotej monety z garnka; łój zaś wybrany przedtem stopili na ogniu i tym stopionym łojem zalali na nowo otwór z pieniędzmi.

Po chwili łój zastygł w gładkiej powierzchni i nikt by nie powiedział, że w tym łoju są ukryte pieniądze.

Potem zabili górne wieko i Andrzej późną nocą, wracając na okręt, zatoczył ją w bezpieczne ukrycie.

W nocy przed odjazdem okrętu na morzu rozszalała się straszna burza.

Osiedleńcy karni spali już wszyscy i warta nie robiła wskutek niepogody zwykłej rewizji po osadzie. Tulliwer i Waker wykorzys'a'i to.

Na brzegu wiedzieli już gdzie znaleźć łódź. Była dziurawa, ale do okrętu mogła ich jeszcze dowieźć. Potem, napełniona wodą musiała zatonąć, co dla nich właśnie było pożądane, bo zacierało ślady ich ucieczki.

Z bijącym sercem wkładali do łodzi prowiant, który wzięli na drogę i powiosłowali.

Fale uderzały o łódź, która coraz bardziej przez dziurawe dno napełniała się wodą.

Pot kroplisty występował im już na czoło.

Już myśleli, że są zgubieni, gdy ujrzeli czerwono-zieloną latarkę okrętu.

Dobyli ostatków sił i dobili do statku.

Załoga okrętowa spała, a na pomoście czuwał tylko jeden majtek na straży. Był to Andrzej.

Spuścił im linę, po której wdrapali się na pokład, unosząc z sobą przywiązane do pasa tobołki i prowianty.

Andrzej milcząc, sprzed drzwi magazynu usunął dużą beczkę, wpuścił ich do wnętrza, zamknął za nimi drzwi i zatoczył przed nie, na nowo tę samą beczkę.

Potem miarowym krokiem chodził znowu po pomoście, póki go na stanowisku tym nie zmieniono.

Gdy w dwie godziny później podniesiono kotwicę i po chwianiu się okrętu poznać było, że statek jedzie, Tulliwer i Waker ze łzami w oczach padli sobie w objęcia.

Byli uratowani.

ROZDZIAŁ CCVVI.

Spuścizna zbrodniarza

Tom i Wudajo zapalili ognisko i przyrządzali kolację, a Jack Hammerling, nieszczęśliwy więzień, ponurym wzrokiem wpatrywał się w płomienie.

Nie miał już żadnej nadziei uwolnienia i wzdrygał się w głębi duszy na myśl o tym, jak to znowu łańcuch straszliwie brzęczeć będzie u jego rąk i nóg w grobowej celi więziennej.

Rozpacz go opanowała na myśl o tym, jak prędko skończy się ta jego względna wolność, a nie widział, że Francis ukradkiem rzuca mu spojrzenia pełne współczucia, Leon zaś wcale się nie tail z litością dla niego.

Postanowił raz jeszcze spróbować szczęścia surowego Amerykanina, który uważał za swój święty obowiązek zbiegłego zbrodniarza dostawić władzom i w tym celu po kolacji poprosił go, żeby wysłuchał historii jego życia.

Przyrodnik skinął na znak, że pozwala mówić i więzień rozpoczął:

Urodziłem się, jako jedyny syn bogatych rodziców i jako jedynak bardzo byłem rozpieszczony. Uczyć nie chciałem się niczego, a suszyłem sobie głowę nad tym tylko, w jakiby to przyjemny sposób spędzić czas i jakie sobie nowe wynajdywać przyjemności. Tak spędziłem pierwszych kilkanaście lat życia, aż do chwili, która jakby uderzeniem gromu, zburzyła od razu całe moje szczęście.

Wróciłem pewnego dnia z konnej przejażdżki, zastałem ojca leżącego na ziemi i zbroczonego krwią. Obok na ziemi wystrzelony pistolet wskazywał, że ojciec wystrzałem odebrał sobie życie.

Przy nim również bez życia leżała matka. Jak się później dowiedziałem, przybiegła do pokoju ojca na odgłos strzału, a ujrzawszy ukochanego męża martwego, padła rażona apopleksją i już nie wstała.

Tu głos mu się załamał i nieszczęśliwy zbrodniarz po chwili dopiero mówił dalej:

— Nie zostało długo tajemnicą, co właściwie było przyczyną samobójstwa mego ojca. Wskutek nieudałych operacyj finansowych, ujrzał się nagle nad przepaścią, a jako człowiek uczciwy, wolał śmierć niż bankructwo.

Tak zostałem sierotą, bez żadnej wprawy do pracy i nie mogłem liczyć na to, ażeby sobie w świecie dać radę. Wziął mnie wtedy do siebie przyrodni brat mojej matki, człowiek starszy, bardzo ponurego usposobienia, który mi od razu zabronił nazywać się „wujem" i który mi szyderczo powiedział, że moje życie próżniacze musi się już raz zakończyć.

Miał on zupełną rację.

Do tej pory, miałem życie pełne przyjemności, pełne słońca, teraz dopiero zaczął się na nim rozciągać cień.

Mój wuj dał mi podrzędną posadę w swoim biurze, a najcięższa praca stała się teraz moim chlebem codziennym.

Za moją ciężką pracę, płacono mi marnie, a nadto musiałem znosić upokorzenia i złe obchodzenie się.

Cały dzień musiałem siedzieć w ponurym pokoju, kopiować listy i zliczać długie kolumny cyfr. Jak często wzdychałem do przechadzki przez zieloną łąkę, jak marzyłem o przejażdżce łódką po niebieskim jeziorze mego rodzinnego miasta.

Z większą jeszcze namiętnością tęskniłem za swoimi rodzicami, których mi los srogi na zawsze wydarł.

(Ciąg dalszy w następnym numerze).

CHWILA ZASTANOWIENIA

Łamigłówka
pod J. F. Płóciennik

„—A—A—K—T—R—"

Przestawiając powyższe literki — ułożyć 5 słów o różnych znaczeniach.

Szarada
pod Witold Mataczyński, Łysinin.

Różne są na świecie miary,
Kilogramy, metry, ary —
Masz więc moc do wyboru miar,
Lecz radzę ci — weź sobie — ar,
Będziesz miał pierwszą z szarady
A z resztą — dasz sobie rady.

Trzecia i druga wstecz — tama,
Co na rzekach wodę trzyma.
Całość to wojenna dama,
Której ani mur nie wstrzyma.
Macie więc całą szaradę,
I dajcie sobie z nią radę.

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrody w postaci książek.

Rozwiązania należy nadsyłać do piątku, dn. 11 lutego br.

Rozwiązanie zadań z numeru 4 „Moich Powieści": 1) Konikówka: „Tylko radości są zawsze prawdziwe, łzy żalu i smutku są często udane". 2) Magiczny łańcuszek: 1) Posada 2) Mora 3) Rama 4) Tara 5) Kalina.

Pos. (P. O. S.) Adam, Ora, Ra, Mata, Rak, Alina, Napo, Sad, Amor, Ara, Mat, Arak. Ali.

Trafne rozwiązania nadesłali p. p.: „Emka", Lenart Tadeusz — Rakowice, Bultrowicz Wacław — Gniezno, Janicki Dionizy — Gniezno, Kujawa Teodor — Janów, „Taki Jeden", Marski Jan — Lwów, Mróz Henryk — Toruń.

Nagrody w drodze losowania przypadły p. p.: Marskiemu ze Lwowa i Mrozowi z Torunia.

ADAM NASIELSKI

8)

Argonauta w Chicago

POWIEŚĆ

— Pan jest niezwykle przenikliwy, kapitanie. — Porucznik spojrzał nań z podziwem. — Nie, moja nieuchwytność nie tyczyła się pana ani pańskich ziomków. Taka dziwna asocjacja w związku...

Richard Murray ugryzł się nagle w język i nie powiedział już nic. Jaz nie pytał więcej. To musiało wystarczyć — i wystarczyło.

— Jak pan poznał się z moją siostrą, o ile to nie jest tajemnicą.

— Zupełnie przypadkowo, na balu, który odbył się w Stevens Hotelu z okazji Kongresu Geografów. Czemu to pana interesuje, poruczniku?

— Pan jest imponująco obcesowy, kapitanie Kent.

— Czy to ma być komplement, czy nagana.

— Raczej już to pierwsze.

— Więc jednak nie zupełnie.

Richard Marray roześmiał się na głos. — Miły z pana chłop, captain. Od razu poznać marynarza. Pytałem o wasze poznanie, bo Thelma miewa niekiedy ekscentryczne znajomości, niezupełnie correct zawierane. Ja tego nie ganię, nie jestem hipokrytą — ale ponieważ Thelma jest pomysłowa, więc pytałem z ciekawości.

Wyjął papierośnicę z kilkoma monogramami i poczęstował gościa.

— Może przejdziemy do salonu... Please... After you.

Usiedli w wygodnych fotelach i palili. Prawie jednocześnie ukazała się Thelma w pięknej srebrnej sukni bez ozdób. Wyglądała cudownie i Jaz stwierdził trochę z przestrachem, że serce zabiło mu mocniej. Ładna historia!...

— No i jak mój brat?

— Zupełnie normalny, jak widzę. Pani przesadziła, miss Murray.

— Ech, pan nie zna Dicka. Wobec obcych gra normalnego, ale w rzeczywistości ciągle tylko myśli o swych tajnych aktach morskich, nad którymi ślęczy całymi nocami.

— Thelmo! To prawdopodobnie nie interesuje pana kapitana — rzekł Dick chłodno i spojrzał na siostrę znacząco. Zorientowała się i chciała się jakoś usprawiedliwić; Jazowi również było przykro. Na szczęście w drzwiach ukazał się kamerdyner i zaanonsował pierwszego gościa.

Nowoprzybyły był bardzo młody i ubrany w smoking nieposzlakowanego kroju. Pomimo to trzymał w zębach krótką, zgrabną fajeczkę. Miał badawcze ruchliwe oczy, które zdawały się patrzeć jednocześnie we wszystkich kierunkach i wszystko widzieć. Thelma skorzystała z okazji i pośpieszyła ku gościowi, aby tym samym zatrzeć uprzednie wrażenie.

— Dobrze, żeś przyszedł, Buddy. Pan pozwoli, kapitanie. Inspektor Buddy Wills z Chicago Criminal Departament, nasz regionalny Sherlock Holmes, pogromca gangsterów, „chief of the g-men" i ulubieniec gubernatora. — Pan kapitan Jazon Kent.

— Nie wprowadzaj mnie w zażenowanie, Thelmo. Kapitan Kent gotów jeszcze uwierzyć połowie tego, co powiedziałaś.

Przedstawieni uścisnęli sobie ręce i Jaz poczuł znów na sobie to badawcze, ostre spojrzenie. Widocznie zawód oficera służby śledczej tak wyostrzył wzrok inspektora — uspokoił kapitan sam siebie. Bo...

— Czemu dzwoniłeś, że może nie przyjdziesz, Buddy. Już byłam zmartwiona, bo przyrzekłam Ann, że będziesz.

— Niewiele brakowało. Mieliśmy dziś trudną sprawę. Zamordowano jakiegoś... niechno sobie przypomnę... aha! — jakiegoś Rantona. Zastrzelony z tyłu, kulą w plecy na wylot. Brzydkie morderstwo. I jeszcze nie mamy sprawcy. Boję się, że tu nie pójdzie tak łatwo.

Jaz miał wrażenie, jakby mu ktoś wolniutko a konsekwentnie wyciągał z kręgów stos pacierzowy. Całą siłą woli utrzymał się w równowadze i powstrzymał od wypowiedzenia słów, jakie cisnęły mu się na język: „ja wiem, kto zabił Rantona". I ja znam Rantona, ofiarował mi tysiąc dolarów i miał spotkać się ze mną jutro o dwunastej. W moim gabinecie, w hotelu Stevens!

— Nad czym pan się tak zamyślił, kapitanie — zagadnął go znienacka Wills.

— Po co ludzie mordują się nawzajem. Czy bez tego nie mogłoby się obyć?

— Istnieją przestępstwa groźniejsze niż pojedyncze morderstwo — rzekł inspektor tonem fachowca. — Tu naogół zarówno ofiara jak i sprawca są zainteresowani i często obaj niewiele warci. Ale taki na przykład szpieg, sprzedając obcemu państwu wrogiemu tajemnicę jakiegoś wojennego wynalazku, na przykład typu bomby eksplodyjącej — staje się pośrednim sprawcą śmierci tysięcy niewinnych ludzi. Owego Rantona sprzątnął na pewno człowiek niewiele więcej wart moralnie od zamordowanego. To był opryszek, może nawet szpieg — istnieją pewne dane...

Tu inspektor Wills urwał i wyjaśnił spokojnie:

— Omal się nie zagalopowałem i mogłem zapomnieć o obowiązku tajemnicy służbowej.

— Jesteśmy tu wszyscy sami dobrzy znajomi i nie masz się czego obawiać.

— Iście kobiece ujęcie obowiązku tajemnicy służbowej — zaśmiał się inspektor Wills. — Jestem przeciwnikiem przyjmowania kobiet do policji.

— Jeszczebyś mi dopłacił, Buddy. Lecz chodźcie — przejdziemy do drugiego pokoju, aby coś przekąsić i tymczasem służba przygotuje salon do tańca.

Ujęła kapitana za ramię i poszli oboje pierwsi. Za nimi Dick i Buddy — a Jazowi zdawało się, że spojrzenia z czterech oczu przeszywają go na wylot, tak jak kula przebiła na wylot plecy Rantona!

ROZDZIAŁ XV.

I TRZEBA GRAĆ

Nie potrzeba wcale bujnej wyobraźni, aby uzmysłowić sobie stan duszy Jazona Kenta. Czuł się niespodziewanie wcale kiepsko w tym otoczeniu. Pech! Z jednej strony porucznik Richard Murray, człowiek mądry, inteligentny i nieufny, najpewniej oficer wywiadu morskiego. Z drugiej inspektor Wills ze swą „swobodną rezerwą". I on, kapitan Kent, który przed chwilą dowiedział się o śmierci Rantona. „Ranton nie przyjdzie jutro o dwunastej". Nadomiar historia z komandorem Douglasem, przeświadczenie, że Sedgwick wysłał kapitana do Murray'ów właśnie w celu poinformowania się o owych tajnych aktach Dicka... Wszystko razem przygnębiłoby najwścieklejszego optymistę.

Prawdziwy wyszkolony szpieg na miejscu Jazona przeprowadziłby oczywiście całość „odcinka" zupełnie inaczej. W rozmowie wymacałby zręcznie nastroje, charaktery, nie przyznałby się wtedy tak od razu do angielskiej narodowości przed poznaniem porucznika Murray nieco więcej. Słowem, działałby fachowo — to jest dobre określenie w tym miejscu.

A może by tak przeprosić Thelmę pod byle pozorem — uporczywa myśl — i poprostu zwiać. Wsiąść w pociąg do granicy kanadyjskiej. Wiza jeszcze ważna — i nie ma mnie. Bo za chwilę gotów tu zjawić się policjant, żandarm, albo zgoła ten wesoły lecz sprytny inspektor. Podejdzie do Jaza, położy mu rękę na ramieniu i powie, że przykro mu bardzo, ale musi, rozkaz... szpieg i ten tego!... Czy on tylko przypadkowo wspomniał przedtem o szpiegostwie, o bombie. Psiakrew!

Tymczasem wniesiono likiery i biszkopty i Jaz dziękował Bogu za tę okazję. Miał przynajmniej czas za-

stanowić się, wziąć się w karby i nie musiał na chwilę paplać wtedy kiedy musiał myśleć. Po kwadransie mniej więcej przybył nowy gość, młoda kobieta o zadartym nosku, Ann Harvy, której przedstawiła go Thelma.

— Pan jest prawdziwym kapitanem, captain?

— Autentycznym.

— Szalenie romantyczne. Czy burza na morzu jest taka efektowna, jak w kinie?

— Przypuszczam, że tak.

— Szalenie chciałabym to przeżyć. O jakiej porze roku odbywają się burze?

— Trzy razy w miesiącu od piątej do ósmej piętnaście. We wtorki, jesienią.

Na szczęście wtrąciła się Thelma i Jaz został uwolniony od pytań, na które nie ma logicznej odpowiedzi. Mis Ann Harvey była „szalenie" rozmowna i kokietowała wyraźnie inspektora Buddy Willsa, za co Jaz był jej zrozumiale wdzięczny. Pomyślał nie bez westchnienia ulgi, że gdyby miał do wyboru między małżeństwem z taką Ann Harvey a piętnastoma latami więzienia — z zamkniętymi oczyma wybrałby kryminał.

Dick pomimo wszystko okazał się wcale zawziętym milczkiem i cały obowiązek bawienia Jaza zdał na siostrę. Po wypiciu kilku cocktail'ów przeszli do salonu, gdzie tańczyli nieco pod takt muzyki radiowej. Ann zaanektowała inspektora bez noty dyplomatycznej, a Jaz czułby się doskonale z Thelmą, gdyby nie przeświadczenie o jego obecnej roli. O dziesiątej nadeszło kilka osób parami: jakiś opasły makler giełdowy i armator z małżonką, podobną do kuropatwy przez mikroskop; dwie młode panieneczki z partnerami-milczakami, które już u progu mdlejącym głosem wykrzyknęły: „cocktail", a potem dopiero przywitały się. Ktoś zaproponował „separację czasową", naturalnie parami, a jakże i miss Muray bez pardonu wzięła kapitana za palec niby małe dziecko i zaprowadziła go do palarni. Byli sami i usiedli na kanapce.

— A teraz — rzekła Thelma stanowczo — proszę mi powiedzieć, dlaczego pan stracił humor. Nie podobają się panu moi goście?

— Ależ...

— Niech pan nie blaguje. Banda snobów nudnych jak kodeks spadkowy. Nie znoszę ich i dlatego pana zaprosiłem. Lecz kapitan Kent czuje się jakoś nieswój.

— Może mam powody.

— Na pewno — nie: może. Jakież to?

— Nie mogę powiedzieć.

— Chyba nie także tajemnice urzędowe. Dick i Buddy zawsze są ich pełni.

— Moja tajemnica jest nieurzędowa — spróbował Jaz uśmiechnąć się bez specjalnego efektu. — Kłopoty.

— Materialne?

— I moralne.

— Fjuu! — udała gwizdnięcie. — Chce mnie pan przerazić. Jaka to Erynia leci z mieczem Damoklesa za bohaterskim kapitanem Kentem i celuje w jego fatum. Blondynka?

Przysunęła się do niego mimowoli, naprawdę bez żadnego zamiaru i aż poczuł ciepło jej oddechu na swoim policzku. Jakże chętnie opowiedziałby jej o wszystkim. Wiedział, że nie broniłaby się, gdyby ją nawet objął i pocałował. Lecz on nie miał w tej chwili takich zamiarów. „Ranton - Szpieg - Sedgwick" — pukało w mózgu niby młoteczek. I czy jemu wolno było kompromitować to niewinne stworzenie, narażać ją na wstyd i coś więcej — szpieg w domu, nawet najsolidniejszym — to nie należy do przyjemności. A teraz nie mógł jej nic powiedzieć — po usłyszeniu o śmierci Rantona, skoro od razu nie wyznał inspektorowi, że on, Jazon Kent umówił się z zamordowanym na jutro. Zacisnął zęby i zdecydował, że jakoś przetrzyma aż do końca przyjęcia, a potem nie pokaże się już więcej. Najpewniej ucieknie.

Nie zobaczy jej więcej. Kapitan Kent nie był przecież mazgajem, uznał życie, już dawno przejrzał kunsztowne maski wielu złudzeń i poznał ich prawdziwe oblicze. Wiedział, że świat w rzeczywistości nie zawsze jest taki piękny, jak to się sądzi, ani życie takie przesadnie rozkoszne, jak je wychwalają w powieściach, na scenie i na ekranie. Ale też nie takie smątne — jak je ganią pesymiści i chorzy, co na jedno wychodzi. Mimo to — pomimo swej rozwagi, dojrzałości i logiki — czuł się jakoś źle na myśl, że nie zobaczy już więcej Thelmy Murray. I to uczucie wcale nie było autosugestywne, raczej szare niż przesadne. Niewykluczone, że zupełnie szczere.

— Polubiłem panią, miss Murray.

Trzeba przecież od czasu do czasu wtrącić kilka słów, bo ona gotowa uznać go za melancholika. Jest taka miła, bezpośrednia i wcale nie głupia. Spostrzegła od razu, że on stracił humor. Obserwowała go więc bystro, interesowała się nim — aczkolwiek znali się tak mało i tak krótko. Chociaż — jemu wydawało się, że znają się już od dawna i dobrze. Uważał ją w tej chwili za jedyną osobę, której mógłby zaufać. Nie tak jak Cliffowi — ex-ludożercy o trwałej, ale przecież cienkiej i prymitywnej powłoce kultury.

— Co panu jest, kapitanie. Taki smutny... zapytała Thelma miękko i naturalnie.

Spojrzał na nią uważnie i rzekł, jakby nie zdając sobie sprawy z tego co mówi, jak gdyby wbrew woli.

— Ja nie powinienem tu siedzieć obok pani i w tym domu. Jestem przestępcą, miss Murray.

Już pożałował tego, co powiedział. Tym większe było jego zdumienie, gdy zareagowała na to zupełnie obojętnie. Widocznie uznała to za żart. Jakżeby...

— Zabił pan kogoś, kapitanie?

— O, nie.

— Ukradł?

— Nie.

— Uwiódł?

— Ani trochę.

— Hochstapler?

— Wcale.

— Bigamista?

— Broń Boże.

— Uciekł z więzienia?

— Nigdy tam nie siedziałem.

— Więc co?

— Właściwie... nic.

— Piękny mi przestępca, który właściwie nic nie popełnił. I za co chciałby pan, aby go wpakowano do Sing-Sing. Za ładne oczy? Nie ma tak dobrze!

Jednakże nie chciało mu się wcale śmiać, pomimo, że sytuacja miała i swoje strony wesołe. Nie okłamał Thelmy. Właściwie przecież — uświadomił sobie nagle — naprawdę nic jeszcze nie zrobił i trudno by go było formalnie ukarać w tym stanie rzeczy. Bo rozważmy! Przyjazd do Sedgwicka po posadę — legalne. Przyjęcie pieniędzy w „Petit Gourmet" — darowizna bez wzajemnego zobowiązania. Udanie się do domu Murray'ów — najzwyklejsze pod słońcem i niesprowokowane nawet zaproszenie. Umówione spotkanie z Rantonem — ja nie odpowiadam za jego zabójstwo i nie jest jeszcze takie pewne, że właśnie Sedgwick zabił Rantona. Nawet poznanie Thelmy — przypadek i właściwie ona zaczęła pierwsza wtedy, kiedy Jaz nie miał jeszcze pojęcia o niczym. Każdy więc z tych faktów był pod względem „kryminalnym" czysty jak łza. Wystarczy jednak jakiekolwiek zakłócenie misternej równowagi, aby wszystko razem scementowało się w groźne przestępstwo szpiegostwa. Jazon Kent będzie wtedy aresztowany, przesłuchiwany, konfrontowany, skompromitowany. Amen. Że go potem uniewinnią — nie naprawi tego co się stało. A zaaresztują go na pewno. Niech się tylko dowiedzą. Może już wiedzą i sprytnie czekają, zastawiwszy sieci — jak to bywa w sprawach szpiegowskich.

Niech tam! Raz się tylko żyje i dzięki Bogu — nic więcej.

Wrodzona pogoda ducha wzięła górę nad wszelkimi obawami. Poza tym — nie bez znaczenia była obecność miss Murray, jej osoba, ten półmrok, sami we dwoje. Bez słowa przyciągnął ją do siebie, objął mocno i pocałował. Długo, mocno, namiętnie. Trzymał ją w swoich muskularnych ramionach marynarza i czuł, że drżała lekko. Z podniecenia, czy ze złości na jego śmiałość. Obawiał się ją puścić — bo teraz chyba dostanie

w twarz i zostanie wyproszony. „Jak pan śmiał... Ja nie jestem taka!“ — i tak dalej. I przywarł do niej mocniej, chcąc jaknajdalej usunąć nieuniknioną chwilę — gdy poczuł naraz jak jej ciepłe, zgrabne ramiona oplotły jego szyję — kiedy chciał w końcu oderwać swe rozpalone wargi od jej ust, uczuł, że nie może i zapomniał na sekundę o całym świecie.

Wreszcie spojrzeli po sobie, oboje dziękując w duchu za mrok, niepozwalający dojrzeć rumieńców. Thelma w milczeniu poprawiała włosy.

— Szablon, kapitanie — mówiła spokojnie. — Oni wszyscy, w innych pokojach, czynią mniej więcej to samo. Potośmy się rozeszli wpary.

Potrząsnął głową i powiedział szczerze, z głębi przekonania.

— Oni nie robią tego samego, Thelmo. — Po raz pierwszy nazwał ją po imieniu. — Zdaje mi się, że się w pani zakochałem.

— Frazes. Tak się często mówi po takim pocałunku. Wypada. Jutro zapomni pan o wszystkim.

Chciał powiedzieć „oby“, miał zamiar powiedzieć „wątpię“ — bo jedno i drugie byłoby szczere, tak jak to trzecie.

— I pani chciałaby, abym zapomniał.

— Gdyby pan był naprawdę zakochany, kapitanie — moja chęć w tym wypadku nie miałaby znaczenia.

Ujął delikatnie jej dłoń i uścisnął bezwiednie.

— Nie zapomnę, Thelmo. Możebym i chciał zapomnieć — lecz nie potrafię. Ja panią kocham. Wiem o tym na pewno. — Westchnął krótko. — Dziwnie zachowuję się jak na zakochanego. Zbyt logicznie i spokojnie. To może nawet wyglądać głupio.

— O, nie — zaprzeczyła i zarumieniła się jeszcze więcej. — Zachowuje się pan zgodnie z naszym ostatnim amerykańskim hasłem. Twentieth Century.

Odwróciła nagle głowę, a on nie był pewny, czy miss Murray śmieje się, czy jest wzruszona. Przypuszczał raczej to ostatnie i miał rację, choć jeszcze o tym nie wiedział.

ROZDZIAŁ XVI.

GŁUPIA HISTORIA

Na szczęście, czy na nieszczęście zjawiła się naraz jakaś podochocona parka. Gdy zbliżyli się, Jaz poznał miss Ann Harvey w towarzystwie — o, dziwo! — grubego maklera giełdowego, którego małżonka tak łudząco podobna była do kuropatwy.

— Ach! Pan kapitan autentyczny. Jak tam moja obiecana burza. Dziś jest wtorek.

— Przepadło, miss Harvey. Już po ósmej. Burze zakazane pod karą sądową.

— Nie szkodzi. Ja zapłacę. Niech pan zaczyna. Na Vorspeise jakiś piorunik z grzmotem, potem ulewa i bałwany. Mnóstwo bałwanów. Kocham bałwany! — roześmiała się miss Ann, lekko histerycznie, ze swego bałwaniastego „dowcipu“ i nie zważając na żadne perswazje Thelmy i maklera zaciągnęła wszystkich na taras; miała już widocznie nieźle w czubie... zamiast mózgu — pomyślał Jaz złośliwie.

Ale na tarasie było porządnie zimno i musieli zawrócić. Tańczyli jeszcze do jedenastej, wypili kilka kolejek, wygłupiali się tyleż — lecz w końcu nadszedł przecież tak bardzo oczekiwany przez kapitana czas rozstania się z domem, w którym podłoga zdawała się palić pod jego stopami.

Zdawkowo, jakgdyby nic między nimi nie zaszło, pożegnał Thelmę i pozostałych i zeszedł wraz z innymi do hallu — gdzie polecił sprowadzić Cliffa, a temu zawołać taksówkę. Jazon chciał już być najdalej stąd. Nie ze względu na miss Murray. Pragnął jednak przede wszystkim zastanowić się w spokoju nad całością swej sytuacji i... drżał, że w każdej chwili podejdzie doń sympatyczny i wesoły inspektor Buddy Wills i powie: „Dobrześmy się bawili, my friend, jesteś miły chłop i fajny kompan, lecz ja tu przybyłem właściwie po to, aby cię, kochanie, nieco odprowadzić do aresztu. O, widzisz!“

To też z westchnieniem ulgi zajął miejsce w taksówce i — choć miał dużo do przemyślenia — przez cały czas drogi do hotelu Stevensa oglądał się tylko poza siebie, oczekując — jak z ciemności nocy wyłonią się latarnie urzędowego samochodu. Bo Wills nie chciał kompromitować Thelmy Murray przez dokonanie aresztowania pod jej dachem. Ostatnia myśl była wprawdzie sprzeczna z poprzednią obawą i czyniła tamtą zbyteczną. Taki już jednak jest człowiek w strachu — nie całkiem logiczny.

W hotelu także nie oczekiwał żaden agent, ani nikt podobny i Jaz bez przeszkód wszedł do swoich apartamentów, rozebrał się, położył się na eleganckim łóżku i przywołał Cliffa.

— Zakochałem się, stary.

— W miss Murray, captain. Winszuję.

— Jesteś głupi. Czego winszujesz? Że taki golec jak ja zadurzył się w córce milionera? Przecież z takiej mąki nie może być chleba.

— Prawdziwa miłość nie uznaje przeszkód — odparł czarny filozof poważnie.

— Wiesz kim jest Sedgwick?

— Draniem.

— Szpiegiem.

— Czyli, że pan...

— Ja też. Ów kramarz to komandor z Departamentu Wydziału Morskiego. Śledził mnie. Rozumiesz.

Tu Jaz wyłożył Cliffowi tok swych odkryć i rozumowań. Nie czynił tego dla zyskania głębszego przekonania — poprostu, rozmowa z Cliffem była w tej chwili dla kapitana wygodniejsza niż rozmyślania w samotności. Stanowiła ona jakby myślenie namacalne, teraz, kiedy samotność ciężyła, jak kamień.

— Jak uważasz, Cliff. Najlepiej będzie zapakować się i zwiać.

Murzyn - filozof przez chwilę siedział w milczeniu i obserwował Jaza, pijącego małymi łyżkami szkocką whisky.

— Niech mi pan naleje szklankę, sir.

— A to, co za śmiałość!

— Pyta mnie pan o radę, captain. Muszę się również napić.

— Ech ty — stoiku!

Nalał mu do połowy i dopełnił wodą sodową. Cliff wypił jednym haustem bez zmrużenia gałek, usiadł spokojnie na rame łóżka i nie mówił ani słowa przez równe trzy minuty.

— Teraz mogę myśleć, sir.

Jaz czekał cierpliwie i obojętnie — nie spodziewał się usłyszeć rewelacji z ust już trochę podchmielonego takim haustem Dianga. A jednak usłyszał ją:

— Doszedłem do wniosku, że pan nie kocha tej panienki, sir.

— Dlaczego?

— Bo nie myślałby pan o ucieczce, lecz o innych sposobach wyjścia z matni. Panu właściwie nic nie grozi.

Jazon Kent wpatrzył się ostro w znajome mu czarne rysy i pochwycił szczere, wierne spojrzenie dużych oczu.

— All right, Cliff. Zostajemy.

— Wiedziałem, że pan tak musi postanowić, sir.

— Gdybyś ty miał wyższe wykształcenie, byłbyś wybitnym człowiekiem, Cliff.

— Wielki zaszczyt! A tak — to źle?

Kapitan uśmiechnął się również, lecz po chwili twarz jego stężała w napięciu.

— Ale jutro rozmówię się z tym Sedgwickiem — postanowił twardo.

— Ja panu pomogę, captain — rzekł Cliff poważnie. — Good night, sir. W Uganda głosiło przysłowie: Mąż, który chce ze swych wnętrzności wyciągnąć mądre postanowienie — niech się przedtem prześpi, od zachodu słońca do zachodu księżyca.

— Dobranoc, Cliff.

(Ciąg dalszy w następnym numerze.)



Niedziela, dnia 6 lutego 1938 r.

8.00 Audycja poranna 9.00 Regionalna transmisja z Gostynia: reportaż, msza św. 10.30 Muzyka z płyt 12.03 Poranek muzyczny, transmisja z Filharmonii w Łodzi 13.10 „Złota kaczka" (z „Legend Warszawy") — recytacje prozy 13.30 Muzyka obiadowa: „Maskarada" 14.45 Audycja dla wsi 15.45 „Wszystkiego po trochu" — audycja dla dzieci 16.05 Koncert muzyki tatarskiej 17.00 Podwieczorek przy mikrofonie z Wilna 19.00 II Wieczór piosenek Berangera 19.35 Muzyka taneczna z płyt 21.15 „Ta-joj" — wesoła audycja ze Lwowa 22.00 Najpiękniejsze pieśni Stanisława Moniuszki (V audycja) 22.20 Muzyka Bacha — recital I. Dubiskiej.

Poniedziałek, dnia 7 lutego 1938 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 12.03 Audycja południowa 15.45 „Z pieśnią po kraju" 16.15 Koncert orkiestry wojskowej 17.00 „Roentgen i roentgenologia" — pogadanka 17.15 Fragmenty z opery dziecięcej „Zapóźno" K. Prosnaka — Transmisja ze studia Wystawy Radiowej w Łodzi 18.10 „Uczmy się polskich tańców" 18.35 Audycja dla wsi 19.00 Audycja żołnierska 19.30 Dyskutujmy: „Kino a teatr" 20.00 Muzyka taneczna z filmów 2.00 Koncert Orkiestry Symfonicznei Polskiego Radia.

Wtorek, dnia 8 lutego 1938 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 11.40 Yelle d'Aranyi gra (płyty) 12.03 Audycja południowa 15.45 „Zagadka historyczna" — audycja dla dzieci 16.20 Koncert rozrywkowy ze Lwowa 17.15 Nasza marynarka gra — koncert Orkiestry Marynarki Wojennej 17.50 „Źli i dobrzy ojcowie wśród ptaków" — pogadanka 18.35 Audycja dla wsi 18.55 „Nieśmiertelne książki" — wieczór IX — „Tristan i Izolda" 19.30 „Z piosenką i tańcem przez Polskę" — Transmisja do Włoch 20.10 Koncert Chóru Katedralnego ks. W. Gieburowskiego 21.00 Muzyka taneczna 21.55 „Sylwetki kompozytorów polskich" — (XXX audycja).

Środa, dnia 9 lutego 1938 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 11.40 Duety na instrumenty dęte (płyty) 12.02 Audycja południowa 15.45 „Chwilka pytań" — pogadanka dla dzieci starszych 17.15 „Bracia Dunieccy i Ska" — lekka audycja muzyczno-słowana 17.50 „S. O. S. — ratujcie nasze dusze" — pogadanka 18.10 Piosenki z nowych filmów (płyty) 18.35 Audycja dla wsi 19.20 Koncert Chóru Męskiego Mieszkańców Domu Akademickiego 19.35 „Rozwój neotonizmu w Polsce" — odczyt 19.50 „W 18-tą rocznicę odzyskania dostępu do morza" — przemówienie gen. Stanisława Kwaśniewskiego, prezesa Ligi Morskiej i Kolonialnej 20.00 Muzyka taneczna z płyt 21.00 Koncert chopinowski 21.45 „Charles Baudelaire" — kwadrans poetycki 22.00 Kabaret muzyczny (z Krakowa).

Czwartek, dnia 10 lutego 1938 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 „Moniuszko" — poranek muzyczny dla gimnazjów 11.40 Paganini na fortepianie (płyty) 12.03 Audycja południowa 15.45 „Rozmowa muzyka z młodzieżą" 16.15 Pieśni i tańce śląskie z Katowic 17.15 Koncert solistów 18.35 Audycja dla młodzieży wiejskiej 19.00 Słuchowisko: „Krzysztof Kolumb na morzu Sargassowym" 20.15 „Kuligiem do morza" — Fantazja na tematy polskie 21.00 Muzyka taneczna 21.45 „Kazimierz Woycicki — badacz formy poetyckiej" — szkic 22.00 Koncert kameralny.

Piątek, dnia 11 lutego 1938 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 11.40 Utwory Karola Goldmarka 12.03 Audycja południowa 15.45 „Nad albumem znaczków pocztowych" — audycja dla dzieci 16.15 Koncert Orkiestry Wileńskiej 17.00 „Świat się zmienia — kobieta się zmienia" — pogadanka 17.15 Recital śpiewaczy Giny van de Veer 18.10 „Barkarole" (płyty) 18.35 Audycja dla wsi 19.00 „Rozum i głupstwo" — komedia Perzyńskiego 19.35 Walce w wykonaniu orkiestry mandolinistów 20.00 Koncert symfoniczny — — transm. z Filharmonii Warszawskiej.

Sobota, dnia 12 lutego 1938 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 11.40 Miniatury fortepianowe (płyty 12.03 Audycja południowa 15.45 Słuchowisko dla dzieci „Pół godziny na jachcie „Zawisza Czarny" 16.15 Legenda i bajki — w wyk. ork. Adama Hermana 17.15 Koncert solistów 18.15 Orkiestra Barnabasa v. Geczy (płyty) 18.35 Audycja dla wsi 19.00 Audycja dla Polaków za granicą 20.00 Koncert muzyki ludowej w wyk. kapeli ludowej Dzierżanowskiego 21.00 „Wesele Figara" — opera Wolfganga A. Mozarta (transmisja z teatru „La Scale" w Mediolanie.



NAŚLADOWCA

Kawaler nudny jak flaki z olejem stara się rozweselić towarzystwo:

— Może państwu coś zaśpiewać?

— Broń Boże! — protestują słuchacze.

— To może powiedzieć monolog?

— Obejdzie się bez monologów!

— Jestem doskonałym imitatorom. Mogę naśladować różne zwierzęta...

— Świetnie! — odzywa się jeden z uczestników zebrania.

— Naśladuj pan gołębia pocztowego i jazda!

MIĘDZY SZACHISTAMI

— Słuchaj to już dwie godziny tak trwa — czy naprawdę nie wiesz, jaką figurę masz ruszyć?

— Jak to? Przecież ty teraz chodzisz.

CHOROBY

— Więc naprzód miałem anginę, potem sklerozę, następnie grypę hiszpańską, cukrzycę i w końcu cholerę azjatycką.

— Na miłość boską, i pański organizm przetrzymał te wszystkie choroby?

— Ależ ja wcale na to nie chorowałem. Jestem medykiem i to były — pytania na egzaminie.

BAGATELKA

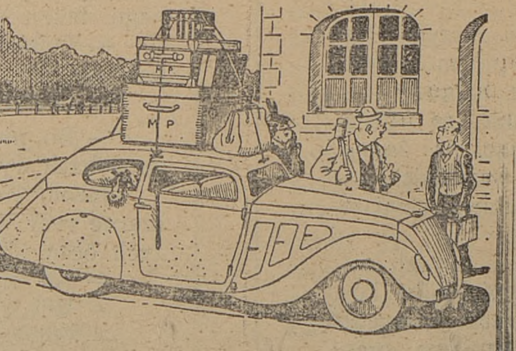
Rosenblum spotyka Zalcmana.

— Słuchaj Zalcman, czy to prawda, co o tobie mówią?

— A co mówią?

— Że spotkała cię niedawno nieprzyjemność. Zostałeś podobno spoliczkowany w Kozienicach.

— Wielkie rzeczy... Kozienice, też mi miejsce!...



Gdy sybaryta wyjeżdża na polowanie...

SZKOCI

Apteka w Aberdeen.

Co się stało, Mac Nab?

— Okropność! Zamiast sody wydałem klientowi strychninę!

— Zwariowałeś? Przecież strychnina jest dwa razy droższa od sody!

DLACZEGO?

— Mamusiu, dlaczego panna młoda nosi zawsze białą sukienkę?

— To jest oznaka radości.

— A dlaczego pan młody jest zawsze ubrany na czarno?

— Ach, przestań ciągle zadawać te nieznośne pytania, ty głupi chłopcze!

W HANDLU PTAKAMI

— Sprzedałeś mi pan wczoraj kosa i mówiłeś pan, że jest bardzo mądry i ładnie śpiewa.

— O tak, proszę pani, bardzo mądry ptak.

— Ale wcale nie śpiewa.

— Właśnie dlatego, milczenie jest cechą mądrości proszę pani.

DZIEDZICZNE

— Janie, znów się strąbiłeś jak bela, czy nie możesz się od tego trąbienia odzwyczaić?

— Nie, proszę pana, to już dziedziczne...

— Więc i twój ojciec był pijakiem?

— Nie... ale był pocztylionem.

LIST

— Szanowny Panie!

Przed trzema miesiącami oddałem Panu 1000 złotych, które byłem mu winien. Z powodu kryzysu i ciężkich warunków materialnych, w jakich obecnie się znajduję, upraszam o natychmiastowy zwrot tej sumy.

Z poważaniem — X.

KWESTIA WZROKU

Służąca woła do pani w dzień popisów lotniczych.

— Proszę pani, proszę pani, już tutaj leci ta srebrna aeroplana...

— Ależ Kasiu — zwraca jej uwagę pani — to nie jest ta aeroplana, lecz ten aeroplan.

— Ojoj, jakie pani ma dobre oczy, że pani widzi!...

U LEKARZA W GODZINIE PRZYJĘĆ

Gospodarz: Wybaczą, panie doktorze, chciałem...

Lekarz: Ja jeno chciałem, panie doktór...

Lekarz (przerywa): Rozebrać, rozebrać!

Gospodarz (rozbiera się.)

Lekarz: No i co wam dolega?

Gospodarz: Ja jeno chciałem się zapytać, czy pan doktór i w tym roku od nas perki weźmie?...

ODPOWIEDZI REDAKCJI

P. S. F. Na list Pana odpowiadamy, że nasz tygodnik jest pismem ilustrowanym, co zaznacza tytuł, który brzmi: „Moje Powieści", Ilustrowany Tygodnik Dla Wszystkich. I zaznaczamy, że pismo to było ilustrowanym od samego początku. Mamy dużo listów podnoszących fakt ilustrowania z największym uznaniem, dlatego bez narażenia się na niezadowolenie ogółu czytelników nie możemy skasować ilustracyj do minimum. Przesyłamy Panu pozdrowienia.

P. N. N. z Żukowa. Podajemy Pani uprzejmie do wiadomości, że aby być przyjętą do „Krainy" — należy podać jakiś pseudonim i pod nim swoje nazwisko, które pozostaje do wyłącznej wiadomości naszej. Pozdrawiamy Panią serdecznie.

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 1 złoty, kwartalnie 3,00 złote. Pod opaską i za granicą miesięcznie zł 1,50, kwartalnie zł 4,50, Nr. pojedyńczy 30 gr. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczenie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA I ADMINISTRACJA
Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8
P. K. O. Nr. 207.393. — Telefon 32

Rękopisów niezamów. nie zwraca się.

Wystarczy adresować
„MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450.— złotych 1/2 strony 225.— złotych i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 32 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 procent zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50 procent. Ogłoszenia przyjmuje się najpóźniej 12-cie dni przed datą numeru.

UWAGI OGÓLNE: Administracja nie przyjmuje odpowiedzialności za termin ogłoszenia oraz za zgubę lub zniszczenie matryc i klisz. Zastrzeżenie miejsca obowiązuje Administrację tylko wówczas, gdy za takie zastrzeżenie zostanie zapłacona przewidziana w cenniku 50 proc. nadwyżka. — Omyłki, które zasadniczo nie zmieniają treści ogłoszenia, nie upoważniają do żądania zwrotu gotówki, ani też nie zobowiązują Administracji do bezpłatnego powtórzenia ogłoszenia. — Uzasadnione reklamacje będą uwzględniane o ile zostaną wniesione do dni 8-miu od daty ukazania się ogłoszenia, lub od daty otrzymania rachunku. Podwyżka cen ogłoszeń może nastąpić w każdym czasie i obowiązywać będzie również te ogłoszenia, które zostały zamówione poprzednio, a nie były z góry zapłacone. — Wydawnictwo zastrzega sobie prawo nie umieszczania całego ogłoszenia, wzgl. jego części bez podania powodów. Komunikatów bezpłatnych nie umieszcza się. — Zniżek nie udziela się. — ROZMIAR STRONY DRUKU: Wysokość 300 mm, szerokość 212 mm. — Podstawą obliczenia jest 1 milimetr, w jednym łamie. — Strona w tekście ma 3 łamy podwójne à 68 mm. Strona za tekstem ma 6 łamów à 31 mm.

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Ksycki. — Redaktor odpowiedz.: Mirania Galińska — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki w Żninie

Pocztowe konto rozrachunkowe: Żnin nr. 1.